№ 7. Warszawa, dnia 5 (17) Lutego 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. –Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41.

CÓRKA ROLANDA

Dramat w czterech aktach

PRZEZ

Henryka Bornier

przekład Konstantego Goniewskiego.

OSOBY:

Cesarz Karol Wielki.
Gerald.
Hrabia Amaury.
Ragenhardt Saksończyk.
Książę Nayme.
Radbert mnich.
Noethold rycerz saraceński.
Ryszard dawny koniuszy Rolanda.
Geoffroy, **Hardrè** } dworzanie Karola Wielkiego
Berta
Teobald paź.

813 — 814.

AKT PIERWSZY.

Obszerna sala w zamku Montblois, w głębi galerya otwarta, przez którą daje się widzieć bieg Renu i góry Saksonii, wieże i wieżyczki.

SCENA I.

Radbert i Teobald.

(Służba zajęta czyszczeniem mieczy i łuków. Radbert siedzi przy stole, nad pewnym rodzajem szachownicy).

Radbert.

Popatrzno Teobaldzie, nad lasem azali
Nie zdąża tam od Marchii Saksońskiej kto z dali?

Teobald.

Nie jeszcze, zacny ojcze.

Radbert.

Ni od Renu brzega?

Teobald.

Również nie.

Radbert (n. s.)

Przecież Hrabia, już drugi dobiega
Miesiąc, jak jest za domem.
(zwracając mowę do służby).
Ot—chwila wytchnienia.
Zostawmy niewolnikom sposób się bawienia
Płaskiemi uciechami. Wy, bawcie się raczej
Poważnie. Pójdźcie do mnie. Tu każdy obaczy
Grę szlachetną.

Teobald

(zbliżając się do stołu).
Doprawdy?

Radbert.

Grę, którą, rok temu
Wibold z Cambrai ułożył i podał samemu
Monarsze ku zabawie.

Teobald.

A! taka gra, wierzę,
Ze swego przeznaczenia godna w każdej mierze.

Radbert.

Tak świadczy jej nazwanie, bo to jest gra w cnoty.
W nią, gracz nigdy nie przegra. Ja wam jej obroty
Wyłożę.

Teobald.

Całym uchem, słucham waszej treści.

Radbert.

(służba skupia się około stołu).
Oto, na tej tablicy, patrzcie, że się mieści
Pięćdziesiąt sześć kwadratów, a w każdym kwadracie
Nazwę cnoty serdecznej lub duchowej macie.

Teobald.

Cnót aż pięćdziesiąt i sześć! Cyfra jest wspaniałą.
By je spełnić — jednego człowieka zamało.
Jakże tu wziąść się do gry?

Radbert.

Ot—bierze się do niej
Rzuceniem tych trzech kostek, które każdy z dłoni
Wyrzuca na tablicę, a gdzie je los wstrzyma
Tam nazwiska cnót owych, niech śledzi oczyma
I w dzień, niech sobie weźmie za zadanie
Aby, wielkie, czy małe, przywieźć w wykonanie.

Teobald.

W dzień tylko?

Radbert.

We dwadzieścia i cztery godziny.
Sprobójmy.

Teobald.

(wyglądając na zewnątrz).
Zacny ojcze, tam z głębi doliny
Zdaje się, ktoś nadciąga. Nieprawdaż? to z drogi
Pan nasz, hrabia Amaury, wraca w nasze progi.
Tak mój ojcze, to on sam — oko me nie zwiedzie,
Już go nawet poznaję, po godłach na przedzie,
Po chorągwi zielonej z niebieskiem. Szczęśliwy
Dzień ten, w którym powraca, pan nasz miłościwy!
Zaprawdę! nie znajdziecie w Akwitanii całej,
Serca więcej zacnego, duszy mniej zuchwałej.
Wszakże, chciej mi powiedzieć księżę kapelanie,
Dla czego jest tak skłonny, pogrążać się w stanie
Żałości, którą tylko syna słodzą oczy?
Zda się, jakieś wspomnienie pamięć jego mroczy.

Radbert.

Rzuć kostkę, niech wątpliwość, gra ci wytłomaczy.

Teobald.

(po rzuceniu kostki, czyta z tablicy).

„Od sądzenia twych panów, powstrzymaj się raczej:“

Radbert.

(biorąc go za ucho).

Widzisz!

(na stronie).

Próżno się dusza kryje i osłania,
Wzrok dziecka, zawsze znajdzie sposób w niej czy-
[tania.

Teobald.

(wyglądając powtórnie).

Ojcze, hrabia już stanął na zamkowym progu.

Radbert.

Przecież, wrócił nareszcie!

(służba oddala się jedną stroną—wchodzi Amaury).

SCENA II.

Radbert i Amaury.

Amaury.

(witając Radberta).

Bądźcie mili Bogu!

Radbert.

(oddając pozdrowienie)

Niech nas lepszymi czyni!

Amaury.

(rozglądając się w około).

Syn mój!... syn!... o Boże!
Gdzie jest?... mówcie...

Radbert.

Nic złego grozić mu nie może.
Osadnicy dziś rankiem przybiegli z żalami,
Że nad Renem żubr niszczy pola z obsiewami,
Więc zaraz z licznym pocztem Gerald był gotowy
Nieść im pomoc... i wierzcie w jego szczęsne łowy.

Amaury.

Dobrze!... zostańmy sami...

(służba się oddala).

Obawie o syna
Wybacz Radbercie. Sam wiesz, ile moja wina
Niestety! strasznych cierpień ściągnęła na głowę,
Tak, że co dnia truchleję, o... nieszczęścia nowe.

Radbert.

Miałażby bladość lica i ten smutek w oku,
Nowe wróżyć nieszczęście z Bozkiego wyroku?

Amaury.

(siadając w fotelu na prawo).

Na jakąkolwiek losy skażą mię ofiarę,
Zniosę mężnie i przyjmę jak winny za karę.

Radbert.

Winny?... tak... ty nim byłeś... bardzo... bez wątpie-
[nia!
Grzech był w tobie... nad tobą, chłosta potępienia,
Wszędzie zdrajcą, podstępnym, podłym cię mieniono!
Ciałom zbawił, uleczył duszę potępioną...
Za tę usilność stałą, jestem nagrodzony,
Bo w tobie, ślad dawnego człowieka zniszczony.
Życie, przez lat dwadzieścia, pokutą wytrwałą
Wyrok sądów pierwotnych, do szczętu zmazało.
W pogromcy własnych błędów, długiej skruchy siłą
Wyraz twarzy, grunt serca i wszystko zmieniło
Tak, że gdy patrzę na cię, lub słucham czasami,
Przeszłość, zda się być kłamstwem i me zmysły
[mami.
Niktby dzisiaj nie poznał, w osobie hrabiego
Potępieńca pod klątwą Karola Wielkiego,
A ty sam, mógłbyś imię wymówić shańbione,
Jako imię ci obce, trafem wyrzeczone.

Amaury.

Mylisz się ojcze — w zdradzie, nieśmiertelność tleje.
Owoc jej nie zamiera, choć drzewo spruchnieje.
Nie wszystko ci jest znane—nie wiesz jeszcze o tem
Jakim rozpacz na nowo, raniła mię grotem:
Tyś mię znał potępionym, zaledwie w połowie,
Posłuchaj.

Radbert.

Przyjacielu, cóż twa skarga powie?

Amaury.

Wiadomy ci Radbercie cel drogi odbytej,
Raczej długiej pielgrzymki i w ciernie obfitej.
Wiedziałem—czułem—że gdy spotkam się z świad-
[kami
Mej zbrodni — obfitszemi obleję ją łzami.
Darmo tłumiłem w duszy pragnienie zrodzone,
Biegłem ujrzeć te miejsca, mą zbrodnią shańbione,
Te góry Pirenejskie i doliny owe
Gdzie zdradą Ganelona, Roland złożył głowę.
Poznałem szczyty chmurne—smutne—te strumie-
[nie —
Te jodły, co olbrzymie roztaczają cienie —
Ach! było to Roncevaux! tylko, że miejscami
Zielsko, bujniej jak dawniej, wzrastało kępami:
Bo tam staczali walkę bez nadziei, srogą
Za wielkiego cesarza, za ojczyznę drogą
Najwięksi bohaterzy, zacni bracia moi
Których imiona wspomnieć, dziś się pamięć boi.
Bo tam ziemia przesiąkła, krwią, którą przelali,
Bo tam, gdybym chciał szukać, mógłbym ostrzem
[stali
Sięgając w głębie mogił, znaleźć bez trudności
Którego z mych przyjaciół, rozsypane kości.
Bo tam dotąd znachodzę, leżące pod skały
Trupy, saraceńskiemi ugodzone strzały!

Radbert.

Uspokój się Amaury!

Amaury.

To miano zmyślonem!
Jam zdrajca, podły Judasz, jam jest Ganelonem!
Tam, trzy dni zatopiony w przeszłości myślami
Zbrodnię i wstyd mój miałem, jawniej przed oczami.
Nienawiść dla Rolanda, zazdrości szalone,
Groźby w obec monarchy, wzajemnie rzucone,
Dwunastu parówległych z ręki niewiernego
Zdradą moją—krewnego Karola Wielkiego,
Hrabiego i barona! Zda się, że słyszałem
Jak padali waleczni pod łuczników strzałem.
Że Olivier i Turpin, te twierdze ruchome
Rzucone w tłuszczę pogan — jeszcze mi widome,
I że Roland przed skonem, szczytnością promiennym,
Wstrząsa góry podniebne, swym rogiem wojennym.
Sam byłem—z duszą w zbrodni mojej zatopioną,
Struchlały, na kolanach, z piersią pochyloną
Modliłem się łez zdrojem. W koło nocy cienie
Zapadły, niecąc w sercu dziwnej trwogi drżenie.
W tem nagle grzmot się rozległ, huragan nad
[głową
Zawył—i mnie przypomniał, straszną burzę ową
Kiedy Karol, gdy niebo piorunami płonie,
Rzekł—to wielka żałoba po Rolanda skonie!
Wyczerpały mą siłę, wszystkie te wspomnienia...
Padłem martwy wołając: cieniu! przebaczenia!
Przed śmiercią, daj usłyszeć wyroki łaskawsze...
Mamże być potępionym na zawsze?... Na zawsze!
Głos mi odrzekł. Podjąłem głowę ociężałą
I z po za gromu burzy, widzieć mi się zdało,
Tak, ujrzałem, mglistemi skały otoczony,
Postać ludzką—rycerza—jak stał niewzruszony.
Widmo, po same stopy, kryła szata biała,
Ta przecież hełm i pancerz, widocznie zdradzała,
Głos nawet, miał ten oddźwięk, poważny, surowy.
Jak kiedy z pod przyłbicy wychodzi stalowej.
Cóż Rolandzie! wołałem, mej modły błagalnej
Czy nie usłuchasz nigdy?... nigdy!... głos fatalny
Odrzekł mi—i daleko, echem poniesiony,
Złowrogi wyraz—nigdy!—zabrzmiał na wsze strony.
A ja, tym zagrobowym wyrokiem złamany,
Padłem, jako trup pada. Już promień jutrzniany
Cienie nocy był rozwiał, kiedy po ocknieniu
Jam się podniósł i z góry zeszedłem w milczeniu.
Była chwila, żem pragnął, wśród tego ukrycia
Zamknąć się, jak pustelnik, na resztę dni życia:
Lecz wspomniałem na rady, przez ciebie dawane...
Mam syna!... powinności są mi więc wskazane.

Radbert.

Hrabio, opowieść wasza wcale mię nie trwoży,
Twa blizna jeszcze nieraz w ranę się otworzy,
Zajmij umysł czem innem, oddal widmo z głowy,
Które zrodził jedynie stan twój gorączkowy,
Echa, niosły ci twego głosu powtórzenie,
Szlachetniejsze byłyby Rolandowe cienie.
Żywi—których nienawiść pożera i trawi
Śmią rzec—nigdy! umarli, więcej są łaskawi.
Niechaj syn swój wyłącznie, myśl twoją zajmuje,
Niech wiedziony przez ciebie, w dobrem postępuje.
Ja, bez badania naprzód niebieskich skrytości
Wiem, że on ma odwagę, równą swej prawości,
I że honor dla niego, szczytem pojęć będzie...

Amaury.

Radbercie! gdy się kiedy dowie o mym błędzie
Lub posłyszy nazwisko... prawdziwe...

Radbert.

Potrzeba
I wtedy, przyjąć kornie świętą wolę nieba!
Złóż ufny w ręce Boga, wyrok przeznaczenia
I jako dobrodziejstwo, przyjm wszystkie cierpienia:
Bo w duszy, gdyś z niej dotąd, rdzy zmyć nie był
[w stanie,
Im więcej łez uronisz, tem mniej plam zostanie.

Amaury.

Tak jest. Wszakże, czy mimo mojego baczenia
Nie ma Gerald podejrzeń, co do urodzenia?
Czy mnie i mej przeszłości, odkryć się nie sili?
Radbercie! czyśmy przed nim dobrze się ukryli?

Radbert.

Nie miej żadnej obawy, wszystko przewidziane.

Amaury.

Być może!... a wszelako — wszystko, co nieznane,
Młodzieńczy umysł pragnie, zbadać, odgadywać...
Czy o swą matkę czasem, lubi rozpytywać?

Radbert.

Często — lecz ja rozmyślnie, pamięć dziecka mylę,
Serce jego młodzieńcze, ma ufności tyle,
Że powieściom o tobie, o niej daje wiarę.
Nie zna wcale jej rodu, ni nieszczęścia miarę,
Prawdziwej nazwy nie wie—oddal płonną trwogę?

Amaury.

Takbym w rzeczy powinien, a jednak, nie mogę.
Często myślę — sromotą moją pognębiony,
Że błąd mój, nie dość jeszcze karą okupiony.
Przywołując na pamięć mą hańbę—gdy marzę—
Stawiam przed oczy dzień ów—w którym przed oł-
[tarze

Wiodłem księżnę Bretanii, po Milonie wdowę,
Siostrę króla wielkiego, matkę Rolandowę.
Karol Wielki, w monarszym stojąc majestacie,
Rzekł do mnie uśmiechnięty, bądź prawym mój [bracie!
A Roland bez uczucia zazdrości w swem łonie,
Podał mężowi matki bohaterskie dłonie.
Ach! dzień ten mojej dumy, wstydem opłacony.
Czemuż w nim nie upadłem piorunem rażony!
Ty sam Radbercie, czemuś, w ów dzień nieszczę- [śliwy
Nie dał mi umrzeć — to był, wyrok sprawiedliwy.
Podłe, zbite, broczące, poranione ciało
Tobie wilkom na pastwę rzucić należało.
Ile odtąd cierpiałem, mowa nie wypowie,
Ciało jeszcze po zbrodni, czuje dreszczu mrowie,
Lecz po nad te męczarnie, najsrożej mię truje
Wzgląd na syna! Radbercie! strach serce przejmuje
Gdy wspomnę, że mię z czasem słusznie będzie [winił:
„Roland był syn mej matki, coś z bratem uczynił?"
Gdy pomyślę że jutro, że może w tej dobie
On ciężar mojej zbrodni, odczuje na sobie.

(daje się słyszeć głos trąby wojennej).

Słyszysz!... mnie lodem ścina jakaś nowa trwoga!
To głos trąby wojennej... to nie jest głos z roga
Myśliwskiego...

Radbert.

(wyglądając na zewnątrz).

On to sam — stanęli u bramy
Gerald — obca niewiasta — i Sakson pojmany.

SCENA III.

Poprzedni, Berta, Gerald, Ragenhardt.

(okuty w kajdany i strzeżony przez niewolników).

Gerald.

Mój ojcze!

Amaury.

Mój Geraldzie!... Obawy złowieszcze
Uspokój — czyś nie ranny?

Gerald.

Niestety! nie jeszcze.
Gdy spełniamy powinność, pierwsza otrzymana,
Tak mnie sam nauczałeś, miłą bywa rana.
A zapewnić cię mogę, że dla pierwszej rany
Nie mógł być nad dzisiejszy, lepszy dzień obrany.

(zwracając się do Berty, która nieco w głębi sceny została).

Lecz pani — pierzchający przede mną Saksonie,
Ledwo mi pozwolili walczyć w twej obronie.

Berta.

(podchodząc do Amaurego).

Syn wasz godzien pochwały, choć się od niej broni.
Saksoni nie tak rychło pierzchli od pogoni,
Co nawet służby mojej nagłe rozegnanie
Zaświadcza dostatecznie—sam to przyznasz panie.

Amaury.

Twa pochwała, synowi, wielki zaszczyt sprawia.
Twój głos pani, spojrzenie — wszystko mi objawia
Duszę w tobie niezłomną, która, w ciężkiej próbie
Dowiodła, że co wzniosłem, nie jest obcem tobie.
U hrabiego Amaury, bądź mi powitana!
Miejscowość, jest ci pani, zapewnie nieznana,
Bezwątpienia raz pierwszy wstępują twe nogi
W Montblois mego zamku otwarte ci progi:
Bo ta lenność odległa od sąsiednich ziemi
Pasmem złączonych lasów, rozdziela się z niemi.
Jakże więc i jak dawno w kraj puszczy daleki
Zabłądziły twe kroki?

Berta.

Z nadbrzeżnych stron rzeki
Wezery tu przybywam — z Fritzlar — gdzie przyjęto
Zwyczajem, że dziewczęta, często groby święte
Odwiedzają pielgrzymką. Zstępując w głąb boru,
Gdzie potok rozlał wody, podobne jezioru,
Słyszę naraz ryk straszny, echem podwojony!
Pierzcha mój zastęp zbrojny, a ja, na wsze strony
Widzę się otoczoną tak ohydną dziczą
Jak zwierzem, gdy drapieżny, goni za zdobyczą.
Jeden z nich, chce mię porwać, bluźnierstwy znie- [waża
I już mi najdzikszemi ruchy się odgraża,
Gdy nagle, broń mu pada wytrącona z dłoni,
Krzyk wojenny — Montjoye! echem w góry goni.
Był to on — był to syn wasz! z uśmiechem, spo- [kojem,
Żelazem mi schronienie zabezpiecza swojem.
Próżno dzicz napastnicza w rozsypkę się ciska,
On ją mieczem dosięga, strąca na urwiska,
I z żalem zda się widzieć ich liczbę zmalałą,
Ściga po ciemnych gąszczach, garstkę pozostałą.
Poczem, wracając ku mnie, temi rzecze słowy
Do ocalonej — „dzisiaj, szczęsne miałem łowy."

Amaury.

Dobrze synu!

Gerald.

Jam tylko powinności mojej
Czynił zadość, mój ojcze — wszakże nie przystoi
Inaczej liczyć wrogów jak trupem na ziemi,
Takieś dawał mi rady, jam poszedł za niemi.
Lecz i winić się muszę, bo kiedy Saksoni
W odurzeniu struchleli, pod ciosem mej broni
Uciekali w rozsypce — gdy ręce ujrzałem
Zbroczone w ich posoce—mnie—co zabijałem
Po raz pierwszy w mem życiu—zdało się, że w łonie
Wszystko się przetwarzało, że wzrok ogniem płonie,
Że me serce, mój umysł, że głos mój zmieniony!
Jakże dziwną ma władzę, człowiek zwycięzony,
Ofiara, która u stóp silniejszego kona
Nad zwycięzcą, gdy życie wydziera mu z łona.
Czułem się, jakąś nową potęgą chwycony,
Wzburzeniem krwi kipiącej, jakby odurzony.
Chociaż dzieło jest słusznem, to rzecz osobliwa,
Jak się, resztka Kaina, w każdym z nas ukrywa.
Tak szedłem rąbiąc, siekąc, bez upamiętania,
Nie wilki, nie niedźwiedzie, jak w wilią spotkania,
Ale ludzkie, cielesne, jakom ja istoty.
Lecz kiedym już rozpędził pogańskie hołoty,
Powracając zwycięzcą, szczęściem upojony
Spostrzegłem Nieznajomą. Wzrok na mnie zwró- [cony,
Postać jej nieruchoma! rzekłbyś, że choć prawe
Zwycięztwo—oblekło przecież jej postawę
W majestatyczną boleść! Że wznosząc westchnienie
Za poległych—zwycięzcy chce zbawić sumienie.
Tum poznał, że Bóg dając walki do staczania,
Na zapał nam pozwala, lecz radości wzbrania.
Saksona, który został, wodza, ostatniego
Przyprowadzam ci jeńcem, rozrządź losem jego.

Amaury.

Dobrze więc, wyrok słuszny i prędki ogłoszę.

Berta.

Panie hrabio, o względność dla niego was proszę,
Kto sądzi, sądzon będzie od Boga.

Amaury.

Tak pani,
Wszystko spełnię co można, w posłuszeństwie dla [niej.

(siada na fotelu wzniesionym, mając Radberta koło siebie Berta i Gerald pozostają na uboczu).

Twe imię poganinie?

Ragenhardt.

Ragenhardt.

Amaury.

Twe lata?

Ragenhardt.

Wiek mój z dniami niewoli ojczyzny się splata,
Lat trzydzieści.

Amaury.

Rodzice?

Ragenhardt.

Ja jestem siostrzanem
Witikinda.

Amaury.

Twój ojciec?

Ragenhardt.

Był królem i panem
Gdy przybył Karol Wielki.

Amaury.

I ty, króla dziecko
Jak łotr, podle, niewiastę napadłeś zdradziecko?

Ragenhardt.

Łotr—to miano zwycięzca dawa zwalczonemu!
Ty co zabić mię możesz—ty znieważasz czemu?

Amaury.

Zapadł wyrok najwyższy prawą wojennego.
Witikind, wuj twój przyjął znamię chrztu świętego,
I dwunastu pokoleń poddali wodzowie
Swe głowy pod chrzest święty.

Ragenhardt.

Ojce... nie synowie!
Zresztą—własny mój ojciec, wzgardził życia darem,
Naśladować go nie chcę, bo moim zamiarem
Jest pomsta za śmierć ojca. Spełniony widziałem
Mord przez was bez litości—nic nie zapomniałem
Choć byłem dzieckiem jeszcze.

Amaury.

Sakson pospolicie
Jest przebiegły i chytry. Wy skrywać lubicie
W tajni wasze zamiary. Lecz w twym dzikim tonie
Brzmi szczerość, widna w oku, które gniewem płonie.
Tobie śmierć się należy.

Ragenhardt.

Czy nie wiem?... sądzicie?
Ja was szedłem mordować—odbierzcie mi życie.

Amaury.

Jeszcze nie czas. Ta, którą napadłeś nikczemnie
Łaski dla cię przed chwilą, żądała ode mnie.
Mógłbym więc twoją zbrodnię, bez pomsty zostawić,
Lecz od ciebie zależy, bym cię mógł wybawić.
Chcesz zostać w Galii? przyjąć wiarę Chrystusową?
Tą ceną kupisz życie.

(Ragenhardt zachowuje milczenie).

Cóż więc?... rzeknij słowo...
Powtarzam ci, że los twój, w twem ręku spoczywa.

Ragenhardt.

Bóg może, do nieznanych zamiarów mię wzywa,
I jako swe narzędzie, przeznaczać mię raczy.

(patrząc badawczo na Amaurego).

Przyjmuję więc, lecz wczoraj, zrobiłbym inaczej.

Amaury.

Bądź zatem chrześcianinem, dowiedź od dnia tego,
Że twe serce pojmuje łaskę chrztu świętego.

Berta.

(zbliżając się do Amaurego).

Dzięki hrabio—żegnając dom twój—jak mi błoga
Myśl, żem mogła pozyskać, tę duszę dla Boga.

Ragenhardt.

(którego przez ten czas uwalniano z więzów — zatrzymując się w miejscu).

Jakto! Pani odjeżdżasz?

Berta.

Zaraz. Cóż oznacza
To pytanie?

Ragenhardt.

Zapewne, powrót twój otacza
Liczny orszak rycerzy.

Berta.

Nie, lecz mam nadzieję
Że tu znajdę obrońców, w przeprawie przez knieję.

Gerald.

O niechybnie! jesteśmy!

Ragenhardt.

Nie jedź pani.

Berta.

Czemu?

Ragenhardt.

Chrześcianko, wzajemność uczuciu zacnemu
Należy się ode mnie. Hord naszych zagony
Nie szturmując Montblois, zapędzą się w strony
Waszych równin i lasów. By z niemi bój staczać
Trzeba wojska silnego. Nie chciej więc przekraczać
Tego progu. Ja mogę bez zdradzania braci
Ciebie pani ocalić—a tak ci się spłaci
Dług winny!

(zwracając mowę do otaczających).

Wy zaś wiedzcie, że Saksonia cała
Stoi zbrojna. Swe nurty, jak potok wezbrała
I zatrutymi zemstą granice rozpiera.
Przepowiadam bój straszny! przeszłość nie zamiera!
Karol Wielki, rzekł niegdyś w rozkazie wydanym,
By Sakson z wysokością miecza był zrównanym,
A każdy, co przerasta miarę zakreśloną
By miał głowę odciętą. To za mało pono!
Wkrótce dla was zwycięzcy, dzień skruchy zaświeci.
Strzeżcie się! jeszcze żyją męczenników dzieci!

(oddala się w głąb pomiędzy służbą zamkową).

(d. c. n)

Kronika Naukowa.

przez H. K.

Znaczenie kongresów naukowych.—Kongres w Peszcie.—Podróże w głąb Afryki. — Ich znaczenie dla przyszłości Europy. — Morze w Algieryi. — Podróże po Azyi. — PP. Przewalski, Dybowski i Godlewski. — Oceania. — Wycieczki naukowe w tej części świata.—Pióra ptasie.—Tunel pod cieśniną Kaletańską.

Minionych lat kilka przekonało świat naukowy, że najpotężniejszym środkiem postępu i rozwoju wiedzy, oprócz towarzystw uczonych, są tak zwane naukowe kongresy, czyli zjazdy specyalistów w zakresie jednej nauki pracujących, do których i publiczność bywa przypuszczaną. Zjazdy takie bywają albo pomiędzy uczonymi jednego kraju, albo też międzynarodowe, ogólne, bardzo ważne znaczenie nietylko dla nauki ale i dla powszechnego dobra ludzkości mające. W przeszłej jesieni kongresów naukowych odbyło się kilka; nie mogąc mówić o wszystkich, kilka słów powiemy tylko o jednym z nich, najważniejszym, o kongresie *Antropologii i Archeologii przedhistorycznej*, który się odbył w Buda-Peszcie, pod prezydencyą Fr. Pulszkiego. Znakomici uczeni wszystkich krajów, nie wyłączając i Ameryki, licznie się zjechali, ale najciekawszą zapewne będzie ta okoliczność, że dwie damy brały czynny udział w obradach i rozprawach kongresu. Temi były: hrabina Hadik-Barkoczy, majętną pani z okolic Pesztu, wielka miłośnica i protektorka nauk, a która już odbywała wycieczkę naukową do Grecyi; druga zaś panna Mestorf, konserwatorka muzeum archeologicznego w Kiel, wyłącznie nauce tej poświęcona. Kongres ten tem bardziej winien nas obchodzić, że nasi uczeni świetne na nim zajęli stanowisko: rozprawy D-ra Kopernickiego i przedstawione przez niego czaszki ludzi przedhistorycznych w ziemiach słowiańskich znalezione, zwróciły powszechną uwagę. jakoteż rozprawy profesora Mierzyńskiego, Sadowskiego i hr. Zawiszy. Zbiór wykopalisk przedhistorycznych naszego kraju, systematycznie ułożony i spisany przez K. Bayera i prof. Łepkowskiego przez obcych uczonych za arcy-ważny uznanym został. Kongres ten oprócz wielu innych kwestyi, wykazał że *wiek miedziany* istniał nietylko w Ameryce, jak dotąd mniemano, ale i w Europie, a przeważnie w Węgrzech; zaś prof. Capellini dowiódł rzeczy niezmiernie ciekawej i ważnej, a mianowicie: że człowiek istniał na ziemi jeszcze *w trzeciorzędnej*, a mianowicie w najwyższych jej warstwach, *w formacyi plioceńskiej*, co było już przedtem odkryte we Francyi przez księdza Bourgeois, ale czego geologowie jeszcze stanowczo przyjąć się wahali, dowody jego i odkryte ślady nie znajdując dostatecznie przekonywającemi.

Kongres geograficzny w Bruxelli na czele którego stanął król Belgów, jakoteż i Instytut Antropologiczny Wielkiej Brytanii, pracują gorliwie nad daniem nowego popędu ku pourożom dalekim w celach naukowych, z których najważniejszem jest zbadanie nieznanych lub mało znanych miejscowości; upatrzenie dogodnych punktów dla przyszłej emigracyi z zachodniej Europy, która przeludniać się zaczyna. Te dwie instytucye wszelkiemi możliwemi środkami ułatwiają podróżnikom ich trudne i niebezpieczne zadanie, a nawet król Belgów podjął się urządzenia stacyi przez Sudan i pustynię Sahary, w którychby podróżnicy wszelką pomoc i wypoczynek znaleźć mogli. W tym celu został wybrany Międzynarodowy Wykonawczy Komitet, złożony z pp. Bartle-Frère, Nachtigal i Quatrefages.

Najważniejsze wycieczki i prace na tem polu skierowane są obecnie ku środkowej Afryce, a także i Oceanii, tej ziemi przyszłości, jak ją nazywają. Pierwsza posiada w części swej środkowej, po obu stronach równika, ogromne obszary mało albo i zupełnie nieznane, z których urodzajność gruntu, bujność roślinności, bogactwa mineralne, przy klimacie niezbyt gorącym, gdyż jest złagodzony znacznem podniesieniem nad poziom morza, oraz ilością rzek i jezior, uczynią z czasem, przy rozumnej pracy osadników i ułatwionych komunikacyach, jeden z najbogatszych, najpiękniejszych krajów świata. I miejscowe plemiona z rzadka na tych obszarach osiadłe, dość są inteligentne i chętnie zapewne przyjmą wyższą cywilizacyę.

Najwięcej światła na te nieznane strony rzuciły podróże i prace wytrwałego Lewingstone'a, który zmarł ofiarą swego dla nauki, dla dobra ludzkości poświęcenia. Słudzy jego, murzyni, z których umiał uczynić sobie gorliwych przyjaciół. zwłoki jego przywieźli do Londynu, a naród angielski uczcił je najwspanialszym pogrzebem, składając w grobach Westminsterskiego kościoła.

Korzystając z notatek jego i dokładnych opisów, wielu dzielnych pionierów rzuciło się w jego ślady; każdy do gmachu wiedzy po większej lub mniejszej przynosząc cegiełce. Gordon, Cameron, Pogge, Young, anglicy; włoch Romulo Gessi; francuzi Savorgnan de Braza, Marche, D-r Lenz i de Ballay, i nareszcie amerykanin dzielny Stanley, różnemi drogami usiłują przedrzeć się w głąb tych nieznanych krajów, zawiązać stosunki z miejscowemi a różnorodnemi plemionami, często bardzo nieprzyjaznemi, zbadać wszystkie jego zasoby i przyrodzone bogactwa, koryta rzek, obszerność jezior i biegi wód, kierunek i wysokość łańcuchów gór, warunki klimateryczne i t. p. Zrozumieć łatwo jak ciężkiemi są podobne podróże po tych nieznanych krajach, gdzie dróg nie ma żadnych, gdzie wszystko z sobą na czas długi mieć należy, nawet środki jednania sobie przychylności mieszkańców przez ulubione im podarki, smutna konieczność opierania się napadom lub traktowania z despotycznemi władzcami niejednych plemion, którzy podróżnikom nie dozwalają przejścia przez posiadłości swoje i tysiące innych nieprzyjaznych okoliczności, bardzo nawet niebezpiecznemi je czynią. A jednak wiele już odkryto i zbadano, wiele naukowych otrzymano zdobyczy, wiele spokojnych uczyniono podbojów, nie z mieczem i ogniem w ręku jak niegdyś Pizarro i Cortez w Ameryce, ale jak Lewingstone, który sam jeden z kilkoma tylko murzynami, których sobie zjednać zdołał, i z biblią w ręku, podczas długoletnich swych wycieczek zwiedzał te kraje. Nauka nigdzie nie postępuje drogą gwałtów to też słodkie i pożyteczne są jej owoce.

Porucznik Cameron który dotychczas najliczniejsze z podróży swych po Afryce zdobył rezultaty, wrócił do Anglii ażeby uzyskawszy nowe zasoby, nową rozpocząć podróż, przybrawszy sobie za towarzysza konsula Hopkinsa. Z zebranych przez siebie szczegółów i wiadomości zdawał on sprawę na publicznych posiedzeniach Instytutu Antropologicznego Wielkiej Brytanii; z ciekawych spostrzeżeń jego pokazało się między innemi, że środkowa Afryka pospolicie ziemią *murzyńską* zwana, posiada daleko więcej plemion do rasy białej, aniżeli do czarnej należących. W opowiadaniach swoich dzielny podróżnik popełnił jednak kilka rażących błędów. Np. opisując przemysł kraju który zwiedził w stronie wielkich jezior podrównikowych, wyroby garncarskie tamtejszych krajowców porównał co do kształtów z temi, które w Pompei i Herkulanum wydobywają. Dalej mówiąc o wyrobach żelaznych u tych murzynów. powiada, że tylko za pomocą młota, wykuwają ogromne sztuki, którym nadają najrozmaitsze kształty, nawet ludzkie, a to z taką dokładnością jak gdyby były dziełem najbieglejszych artystów. Z tego tylko się pokazuje, że można być biegłym inżynierem, znakomitym uczonym, a w rzeczach sztuki bardzo lichym sędzią. Miejmy nadzieję, że następna podróż jego wyświeci kwestyę sztuk pięknych w Afryce środkowej, gdyż przyszły jego towarzysz, p. Hopkins, jest biegłym rysownikiem i artystą.

Na jednem z tych posiedzeń Cameron widząc wiele dam z uwagą się przysłuchujących, chciał bardziej jeszcze zainteresować płeć piękną, opisem stro-

ją kobiet tamtejszych, które w wyższych klasach ukazują się mając za jedyne okrycie bardzo długie własne włosy, splecione w cztery kosy ozdobione na końcach w wielkie paciorki szklane i stalowe dzwoneczki, które gdy kosy są zwinięte na wierzchu głowy jak zwykle je noszą, tworzą rodzaj świecącej i dzwoniącej korony; resztę stroju dopełniają bransoletki na rękach i nogach. Z zajęciem wszakże słuchano jak kobiety innych plemion afrykańskich, przebijają sobie dolną wargę, a wkładając w otwór coraz to większy kamyk, nadają i tak już potężnym swym wargom dziwaczne przedłużenie nakształt kaczego dziobu. Coś podobnego i na niektórych wyspach Oceanii widzieć się daje. Logiczniejszem już zdaje się być postępowanie w innych znowu plemionach z nad brzegów wielkiego jeziora Mvoutan-Nzighe: kobiety tamtejsze wybijając sobie zęby przednie i w rozmaity sposób twarz swą malując, starają się jej nadać wyraz i fizyognomię wołu, ażeby przez to podobieństwo przypodobać się swym mężom, którzy najbardziej cenią i poważają to zwierzę, widząc w niem symbol pracowitości, spokoju i uległości, przymiotów zapewniających, według ich murzyńskich wyobrażeń, szczęście w małżeństwach, dla tego też Zebra w najwyższej jest u nich pogardzie, chociaż bowiem piękny, ale przedstawia typ krnąbrności niczem nieposkromionej.

Obecnie oprócz Camerona, wszyscy wyżej wymienieni podróżnicy znajdują się w środkowej Afryce, ciągnąc dalej swoje badania. Romulo Gessi zdoławszy z wielkim trudem przenieść mały parowy statek po za wodospadu Nilu, opłynął nim wielkie jezioro Albert-Nyanza, przez krajowców zwane Mvoutan-Nzighe, i przekonał się że brzegi jego są pokryte olbrzymiemi lasami drzew najpiękniejszych, a w stronie południowej roślinność tak bardzo jest wybujałą, że tworzy gąszcze niepodobne do przebycia. Young zwiedził brzegi jeziora Nyassa, posunąwszy się o dwieście mil angielskich w głąb krajów jeszcze zupełnie nieznanych. Na tem jeziorze znalazł on wiele wysp bardzo pięknych i kilka miejscowości zachwycających wspaniałością i malowniczością swego położenia; widział także i zwiedzał wiele wiosek murzyńskich, złożonych z chat i szałasów stawianych na palach w wody jeziora wbijanych. Ogromne i piękne to jezioro jedną stroną swoją przypiera do wspaniałego pasma gór mającego wielkie podobieństwo z Alpami, a sięgających do wysokości stóp 10,000. Pogge przeniknął aż do wnętrza państw Muata-Yambo, najpotężniejszego z królów murzyńskich w Afryce podrównikowych i kilka miesięcy w nich przepędził. Dobrze przyjęty przez czarnego potentata miał jednak wzbronioną dalszą podróż po jego krajach, musiał więc skierować drogę swą ku Zachodowi i zabrać się do odwrotu. Francuzom przez nas wymienionym niedobrze się wiedzie. Paryzkie Towarzystwo Geograficzne miewa dość często od nich wiadomości za pośrednictwem markiza de Compiègne, stale mieszkającego w Kairze, a będącego ich pomocnikiem i korespondentem. Pomimo trudności podróży, chorób i złej woli krajowców, postępują oni coraz dalej w górę wielkiej rzeki Ogdoué, a wytrwałość i odwaga nie opuszczają ich wcale pomimo doznanych wielu niepowodzeń.

Rozpisaliśmy się tyle o tych podróżach w głąb Afryki przedsiębranych, z powodu iż odkryte w nich kraje, ułatwione stosunki z krajowcami i ustalone komunikacye, mogą przynieść przeludnionej Europie nieobliczone korzyści, tem łatwiej jeżeli uda się uskutecznić genialny projekt Lesseps'a, twórcy Suezkiego kanału, zalania wodą morską pustyni Sahary i utworzenia przez to w północnej Afryce morza Śródziemnego na miejscu lotnych piasków, na których rodzi się okropny *simum*, duszący i zasypujący pod mogiłami piasku całe karawany przebywające te od skwarów słonecznych spalone pustynie. Na ich miejscu jest nadzieja iż niedługo ukaże się wspaniałe jezioro a raczej morze, gdyż woda w niem będzie słona, zielonemi zasiana wysepkami, utworzonemi przez oazy pustyni, które wszystkie prawie znajdują się na gruncie nieco podniesionym, a na jego brzegach kwitnące miasta portowe, ułatwiające handel i komunikacye ze środkową Afryką, tak piękną i we wszystko obfitującą, a która tym sposobem prędko się zaludni. Klimat nawet się zmieni pod wpływem tej masy wody pośród lądów. Nie jest to wcale marzeniem, rząd francuzki czynnie się wziął do przeprowadzenia tego projektu i wysłany w tym celu inżynier p. Roudaire, już ukończył wstępne czynności, z których zdał urzędowy raport; z niego się pokazuje, że aby zalać piaszczystą część Algieryi i takąż część posiadłości Tunetańskich i utworzyć wielkie morze wewnętrzne, powierzchni 16,000 kilometrów kwadratowych, którego głębokość od 25 do 40 metrów wyniesie, dość będzie przekopać kanał od zatoki Gabès na 20 kilometrów długi; całe zaś koszta obliczono od 30 do 40 milionów franków. Genialna ta myśl Lesseps'a może więc z łatwością i z niewielkim kosztem przyjść do skutku.

(*d. n.*)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii.

przez Alberta Vandal.

(**Streszczone przez J. B.**)

(Ciąg dalszy).

VIII.

Potomek króla Thulé. — Legitymiczność w Norwegji. — Ostatni z białych orłów. — Romsdal. — Dolina wodospadów. — Ballada norwegska. — Wycieczka na wyspy.

W Dombaas (Douvre-Field) znaleźliśmy bardzo światłego gospodarza; mówił biegle po angielsku, a języka tego nauczył się w Trondjem, w szkole wyższej przeznaczonej wyłącznie dla chłopskich dzieci. Gdy młodzież ta nauczy się czytać i pisać, przybywa do Trondjem na lat kilka, aby tam nabyć praktycznych wiadomości potrzebnych im jako rolnikom i obywatelom, poczem wracają do ojczystej fermy nie porzucając pierwotnego swego stanu, gdyż wolą być światłymi wieśniakami, niż nieokrzesanymi mieszczanami.

Po wieczerzy gospodarz rzekł do nas:

— Słyszeliście panowie zapewnie o naszych królach norwegskich, starożytniejszych jeszcze niż katedra Trondjemska. Wiele, wiele już minęło wieków od czasu jak panowali oni w naszym kraju. Byli to wielcy wojownicy, pili tęgo i żeglowali po różnych morzach. Czy chcecie zobaczyć ich potomków.

— Ależ mamy ich przed oczyma, odrzekłem, biorąc to za żart. Wszakże wy wszyscy pochodzicie od dawnych waszych książąt.

— Gdzież znowu, odrzekł chłop erudyt; ale nie daleko ztąd żyje rodzina pochodząca z krwi królewskiej. Wywodzi ona swój początek od *Haralda Pięknowłosego*, pierwszego monarchy całej Norwegii który pokonał innych książąt norwegskich, zmusił ich służyć na jego okrętach wojennych i był protoplastą królewskiej dynastyi. Znakomici ci sąsiedzi nasi nazywają się *Tofté* od nazwy fermy w której zamieszkują od wieków. Są oni bogaci, mają przeszło trzysta krów, potrzebują ośmiu lub dziewięciu dni aby objechać swe grunta, a dzień cały nie wystarcza na obrachunek z fermierami. Wszyscy tu dobrze ich znamy, choć mało się pokazują, żyją i żenią się tylko między sobą. Jeśli ktoś mówi im iż należałoby odnowić krew swoją przez łączenie się z innemi rodzinami, gdyż inaczej ród ich wygaśnie, odpowiadają że wiedzą o tem dobrze, ale wolą nie mieć dzieci niż mieć synów mniej szlachetnego rodu".

Słowa te zaostrzyły naszą ciekawość, postanowiliśmy tedy odbyć pielgrzymkę do miejsca pobytu tych Meringowiuszów Norwegii, którzy dumni swem dziesięcio-wiekowem szlachectwem, mogą patrzeć z lekceważeniem na tegoczesne panujące dynastye, a monarchów uważać za dorobkiewiczów.

Nazajutrz bardzo rano, udaliśmy się w towarzystwie naszego gospodarza, drogą wiodącą z Dombaas do najbliższej stacyi pocztowej, utrzymywanej przez Tofte'ów. Mój Boże! pomyślałem, pochodzić od Haralda Pięknowłosego, a dziś utrzymywać przeprząg koni, cóż to za upadek, co za straszna zmiana losu! Ale co prawda i dziś zdarzają się podobne wypadki.

Przybywszy do stacyi, zobaczyliśmy we drzwiach wysoką, silnie zbudowaną dziewczynę. Miała suknię ciemno-zieloną, czerwony gorsecik wycięty i otwarty na piersiach, profil wyraźnie zarysowany, włosy czarne, w oczach jakiś ostry i dziki wyraz, słowem podobniejsza była do wieśniaczki z Abruzzów, niż do jasnowłosej córy Norwegii. Myślałem że jest to *autentyczna potomka* królów-korsarzy, pokazało się że to tylko służąca.

— Gdzie twoi panowie? zapytał nasz przewodnik?

— Tam, wysoko! odrzekła, wskazując palcem fermę kryjącą się w załomie góry, bliżej obłoków niż ziemi, do której prowadzi droga jakby przeznaczona wyłącznie dla reniferów, kóz i turystów angielskich. Trzeba nam więc szukać orła w jego gnieździe. Puściliśmy się w drogę pod przewodnictwem naszego gospodarza.

Na pół drogi ujrzeliśmy starca i młodzieńca zdążających ku nam: to głowa rodziny Tofté i syn jego, którzy wyszli na nasze spotkanie; zobaczywszy z góry że wdzieramy się drożyną, chcieli nas uprzedzić. Ojciec. był to starzec wysokiego wzrostu, chudy, nieco pochylony, postawa zarazem nieśmiała i dumna. Miał na sobie zwykły ubiór wieśniaków z Douvre-Field, tylko zamiast trzewików ze sprzączkami, drewniane sandały, daleko lepiej pasujące do czapki frygijskiej jaką nosił na głowie. Syn był młody dwudziesto-letni chłopak, cerę miał chorobliwie bladą, a budowa wątła i niezgrabne ruchy, rażącą tworzyły sprzeczność z czerstwą starością ojca. W tym karłowatym potomku objawia się już wyraźnie zubożenie krwi nigdy nie zasyconej odnowieniem: ostatni potomek silnych królów Norwegii, jest mały i szczupły jakby Grand hiszpański.

— Są to cudzoziemcy, rzekł nasz gospodarz przedstawiając nas starcowi, którzy posłyszawszy o znakomitości starożytnego twego rodu, zapragnęli cię odwiedzić.

— *Tacka* (dziękuję) odrzekł stary Norwegczyk, podając im rękę, witajcie na mojej ziemi. Poczem poprowadził nas do fermy, równie jak wszystkie podobniejszej do wioski, niż do mieszkania jednej rodziny. Stanąwszy przed głównym budynkiem, rzekł do nas, starzec: „Oto dom mój; przyjmowaliśmy w nim dwóch królów, Karola-Jana XIV i Oskara I".

Przechodzimy rzeźbioną drewnianą bramę i zaraz dał się mocno uczuć odór ze stajni: na parterze tej wiejskiej rezydencyi, mieściło się przeszło sto krów ściśnionych przy żłobach, które zajadały spokojnie, raczej pod stopami niż pod okiem swych panów. Kręcone schody prowadzą na pierwsze piętro. Pokój wchodowy podobny jest do wielkich sal mieszczących się w każdym gordzie norwegskim. Na jednej ścianie wisi egzemplarz konstytucyi narodowej, ale naprzeciw, zamiast, jak zwykle, portretu króla Szwecyi i Norwegii, rozpiera się, oprawne za szkło wielkie drzewo genealogiczne. Tuż przy początku pnia, wypisane są nazwiska królów noszących popularne przydomki: Harald Pięknowłosy, Hardrath boso-nogi, Harold Czerwony; Bioru z iskrzącymi oczami; u wierzchołka drzewo rozchodzi się w różne gałęzie; na ostatniej z nich, wzniesionej po nad innemi, umieszczone były nazwiska przyjmującego nas starca i jego syna. Tuż obok tego ostatniego, spostrzegliśmy gałęź przełamaną nagle zanim mogła się rozwinąć. „To zapewnie, zapytałem po angielsku przewodnika, drugi, zgasły przedwcześnie syn naczelnika rodziny?

— Nie, odrzekł, nie umarł on ale został odtrącony od rodziny za to, że poważył się zaślubić dziewicę niepochodzącą z ich rodu. Wygnano go z goordu jego przodków.

Za tą pierwszą salą jest przybytek, muzeum pamiątek rodzinnych. Jest to wielka i piękna sala; podłoga zarzucona gałązkami sośniny miłą woń roztaczającemi w powietrzu. Sufit jest koloru błękitnego, a małe przechodzące po nim belki są czerwone. Na kolorowych ścianach wiją się fantastyczne arabeski. Na ścianach zawieszone są obrazy malowane na drzewie; przedstawiają one starych wojowników norwegskich w zbrojach i wysokich kaskach, z pociskami w ręku, z włóczniami za pasem; czoło ściśnięte metalową obręczą, tem godłem królewskości w owym żelaznym wieku. Za nimi widać sine morze i łódź korsarską unoszącą się na jego falach. W głębi wznosi się rodzaj estrady; tam na wysokich pułkach stoją starożytnej roboty srebra, cizelowane puhary, rogi obfitości, srebrne oksydowane pasy, wielkie miedziane półmiski do rozbierania wołów. W środku, na postumencie, wznosi się ciężka i wysoka korona z arkadami u których wiszą ruchome srebrne kule, poruszające się jak grelotki u czapki trefnisia. Lecz choć korona ta należy do rodziny z królewskiego rodu, zapewnie żadne monarsze wspomnienia z nią się nie łączą; gdyż w Dovre-Field każda zamożniejsza rodzina posiada podobną i zdobi nią czoła swych córek w dzień ich ślubu. Jest to droga pamiątka, niby relikwie rodzinne, przekazywane z pokolenia w pokolenie. W ogóle wieśniaczki Norwegii idąc do ołtarza przeciążone są klejnotami. Na czole wznosi się wielki diadem podtrzymujący welon ślubny; na szyi zawieszają kilka rzędów naszyjników ciężkich jak kajdany. Jestże to ozdoba czy symbol?

Chłop z królewskiego rodu, opowiadał nam dzieje każdej z tych pamiątek z dumą don Ruy Gomez'a de Silva zmuszającego króla hiszpańskiego aby oddał pokłon jego przodkom. Głos starca stał się uroczystym, wyprostował się, poorane czoło jaśniało dumą, zrozumieliśmy patrząc nań ową nazwę „kastylijczyków Północy“ nadawaną Norwegczykom.

W r. 1814 Bernadotte przejeżdżał przez Douvre-Field udając się do Trondjem, gdzie na grobie św. Olafa, miał przyjąć, koronę Norwegii. Noc spędził pod gościnnym dachem Tofte'ów, wraz z całą swoją świtą i towarzyszącymi mu dygnitarzami. Głowa rodziny, ojciec przyjmującego nas dziś starca, kazał przygotować ucztę dla dworu; w wielkiej sali nakryto kilkanaście stołów, suto zastawionych starożytną złotą i srebrną zastawą, które Tofte'owie przechowują od wieków, zaś w samym końcu sali, pod baldachinem z liści, stał stół wyniesiony po nad inne, z dwoma tylko nakryciami. Jedno przeznaczone było dla ukoronowanego żołnierza, króla Karola Jana Bernadotte. Adlerkreutz pierwszy minister i przyjaciel króla, obsypany zaszczytami i orderami, chciał zająć drugie miejsce, ale wiejski amfitryon odsunął go mówiąc: „Aby zasiąść do tego stołu, trzeba pochodzić z krwi królewskiej“.

Już zamierzaliśmy opuścić gościnne progi starego Tofte'go, gdy w tem weszła do sali niemłoda kobieta, z dumnym wyrazem twarzy. Przyniosła ciężki dzbanek pełen *otwik'i*, jest to rodzaj wódki wyrabianej z ziarn, której używają i nadużywają wieśniacy norwegscy. Nalała kubek każdemu z nas i podała zarazem jakieś suche ciastka przekładane świeżym dzięglem; była to siostra gospodarza. Cała rodzina otaczała ją jakąś „zabobonną czcią“, sąsiedzi szanowali i bali się zarazem. Nie chcąc się poniżyć nieodpowiednim związkiem, pozostała panną, cała zatopiona w wspomnieniach swego rodu. Ona to, podczas długich zimowych wieczorów, opowiada zgromadzonej rodzinie starożytne sagi, bohaterskie epopeje starej Norwegii. Gdy jeden z jej siostrzeńców ożenił się z kobietą nie pochodzącą z krwi królewskiej, wypędziła go z fermy rodzicielskiej, zrzucając na głowę jego straszne przekleństwo: „Bodaj wszystkie drzwi były dla ciebie zamknięte; bogdajbyś nigdzie nie dostał szklanki wody gdy pragnienie palić cię będzie, płaszcza gdy będziesz marzł od zimna. Bogdajbyś gorzko żałował że raczej nie utracił życia niż honoru“.

Pewnego razu jakiś cudzoziemiec, który równie jak my przyszedł poznać rodzinę Tofté, starał się przekonać ich że podobne zasady nie zgadzają się z teraźniejszemi pojęciami i duchem; namawiał aby przestali żyć w takiem odosobnieniu i żenić się w rodzinie. Dumna kobieta wstała, poprowadziła go do drzwi gordu, wskazała palcem górę a na niej orła nieruchomego, z rozpostartemi skrzydłami, na jednym z cyplów Dovru. „Czy widzisz tego orła? zapytała. Wiadomo ci zapewnie że jest bardzo wiele orłów żyjących i rozmnażających się w naszych górach, ale są to orły szare. Dawniej Dovre-Field posiadał inną jeszcze rasę orłów, większych, piękniejszych a nadewszystko dzielniejszych i śmielszych. Orły te nie przestawały na porywaniu naszych kóz i walczeniu z krogulcami, walczyły także z ludźmi i gdy myśliwi wdzierali się na skały, nie lękały ich się i nie uciekały, ale rzucały się na napastników i wyjadały im oczy. Była to rasa orłów białych. Ale liczba ich zmniejszała się z dniem każdym; rzadko już kiedy można ich było spostrzedz na szczytach gór. Nareszcie dowiedziano się że na Dovre-Field już jedno tylko znajdowało się gniazdo orłów białych. Pewnego dnia, samiec poleciał za żerem a wróciwszy znalazł gniazdo zniszczone i ani śladu rodziny; wieśniacy którzy się tam wdrapali, zabili matkę i zabrali małe. Orzeł długo przywoływał swej rodziny, potem usiadł w miejscu gdzie było jego gniazdo i wlepił wzrok w dolinę w którą uprowadzono jego dzieci. Widząc to szare orły z góry, zleciały się do niego, a samice nadstawiając się dawały do zrozumienia że pragną go pocieszyć; — ale on nic widzieć, nic słyszeć nie chciał, a wzrok jego zawsze był wlepiony w dolinę. Inne orły przynosiły mu strawę; nie tknął jej, gniła na skale. Widząc to, szare orły odleciały, a z dołu długo widziano białego orła nieruchomego i zrozpaczonego, ze szponami utkwionemi w skale. Aż pewnego dnia myśliwi uganiający się za reniferem, znaleźli w tem samem miejscu zeschły i samotny jego szkielet. I my także, dodała, pochodzimy z rasy białych orłów“.

W Dombaas drogi się rozchodzą; prościejsza prowadzi z Trondjem do Christianii, druga zakręca się na zachód, ciągnie się z biegiem Raumy i prowadzi do fiordu Molde i wybrzeża morza Północnego, przez dolinę Romsdal.

Przysłowie Norwegskie mówi: „iż Romsdal jest tem względem innych dolin, czem słońce względem innych gwiazd“, i tym razem przysłowie nie kłamie. W okolicy Norwegia nagromadziła treść swoich cudów i przeciwieństw. Na wybrzeżach Driwy, na wysokich płaszczyznach Dovru, u stóp Suoechattan, przeważa posępna ponurość; przyroda przyodziewa się tu wiekuiście jakby żałobną szatą. W Romsdal przeciwnie nieustannie krajobraz się zmienia, już to bywa uśmiechnięty już poważny. W głębi, dolina osłoniona od wiatrów, zaraz z wiosny przystraja się w kobierzec zieleni; kwieciste płoty otaczają ścieżki, piękne gaje wznoszą po nad naszemi głowami swe liściaste kopuły, ale przez gałęzie bzów i mącznicy dostrzegamy ponure profile gór i obnażone krańce field'ów, które śnieg otoczył szklącym naszyjnikiem. Na skręcie drogi, wązka dolina rozszerza się nagle i dostajemy się jakby do bajecznego państwa wodospadów. Z każdej skały tryska wodospad; widzimy jedne nad naszemi głowami, drugie pod stopami, inne tuż obok nas. Zwilżają one ziemię swemi mikroskopijnemi kropelkami; wiją się na grzbietach gór jak długie wstęgi; niby szeregi węży zwabione głosem czarodzieja, czołgają się, ślizgają, krzyżują, rysując różne zakręty swemi srebrzystemi strugami.

(d. c. n.)

GWIAZDKA.

Przez okno mej izdebki widzę świat szeroki,
Ziemię, ludzi i obraz życia niemal cały,
Lecz wszystko niknie często wśród smętnej pomroki,
I wzrok błądzi napróżno nocą ociemniały...

Lecz wtedy — niby słodka pociecha w zwątpieniu,
Zjawia się jasna gwiazdka i wesoło świeci,
I oczy moje tęskne toną w jej promieniu,
A w myślach mych nadzieję w sercu błogość nieci.

Niekiedy przecież — często — szare, ciężkie chmury,
Gwiazdkę moją jedyną kryją jak zasłoną,
A w izdebce i w duszy, zaległ cień ponury,
A biedne tęskne oczy w mroku i łzach toną...

O Boże! jeśli litość znasz dla ziemskich dzieci,
Jeśli widzisz biedaków co za światłem gonią,
Pozwól, niech mi ta gwiazdka ukochana świeci!...
Lub zamknij tęskne oczy, zimną śmierci dłonią...

Marya Szeliga.

Korespondencya z Madrytu.

Palacio real. — Wyzyskiwanie podróżnych w Madrycie. Muzea: San Fernando, Fomento i narodowe muzeum Prado. — Promenada: *Salon Prado.* — Piękne Madrytanki. — Żebrzący żołnierze. — *Serenosi.* — Loterya liczbowa. — Domy gry w Madrycie. Nowy zakład gry hazardownej w Fuentearabia. — Serenada i tragiczny wypadek.

(Dokończenie).

I niebawem stół zarzucony jest banknotami, srebrem i złotem.

Kula opisuje ruchy dośrodkowe, waha się, odskakuje, nareszcie zatrzymuje się w jakiejś przegródce.

— Skończone, — 23, czerwona, nieparzysta.

Krupierzy rzucają durosy i dublony, przesuwają swoje grabki po stosach dźwięczącej i błyszczącej monety. Gracze tak w razie wygranej jak przegranej pozostają obojętni i niewzruszeni Niekiedy któryś zapali cygaro i silnie pociągnie, ale też jest to jedyna oznaka wzruszenia, jaką najbaczniejszy dostrzegacz dojrzeć zdoła.

Dobrzy gracze zwiększają stawki, jeśli wygrywają, przegrywając zmniejszają, szczególną zachowując ostrożność względem zera, które wychodząc przeciętnie cztery razy na godzinę, zapewnia bankowi 25 na 100 zysku ze wszystkich w ogóle stawek Jedni grają licząc na powtarzanie się numerów, inni na serye. Dużo także jest graczy trzymających się jakiegoś systemu; ci przybywają z różnemi obliczeniami, głoszą że są one nieomylne a w końcu przegrywają.

Krupierzy pobierają wysoką płacę i bardzo piękne gratyfikacye, ale mimo to rzadko który nie oszukuje, tak szatański wpływ wywiera na nich złoto które nieustannie przegarniają. Nie bez powodu poprawiają często kołnierzyki i mankietki, za każdym razem wsuwając jedną lub parę sztuk złota. Raz jeden z nich rzucił pod stół petardę; przerażeni gracze zaczęli uciekać drzwiami i oknami, a sprawca tego przestrachu, wziął kasę pod pachę i już z nią wychodził gdy wtem sekretarz zastąpił mu drogę. „Gdzie pan idziesz?“ zapytał: „Ratuję kassę“, odrzekł czelnie. Z pośpiechu zapomniał skryć jej pod paltot.

Oprócz takich klubów i casinos, istnieją w Madrycie szulernie tajne daleko podrzędniejsze, do których kto chce wchodzić może. Takie mają swoich faktorów po ulicach, którzy zaczepiają przechodni pod pozorem zapalenia cygara, i korzystając z tego zbliżenia namawiają aby wszedł do zakładu, a może za chwilę krezusowe wygrać skarby. Jeśli przypadkiem spotka się kiedyś rozmawiającego z jakąś znakomitością, nie zawaha się powiedzieć że tenże oczekuje tam na niego.

Już to Hiszpanie mają dwie namiętności: grę i walki byków — których wykorzenić prawie niepodobna, gdyby sam nieboszczyk Likurg wstał z grobu, nie byłby wstanie nadać i wprowadzić w wykonanie zaradczego prawodawstwa.

To też *zręczni przemysłowcy* umieją wyzyskiwać ich słabości. Obecnie gdy skasowano domy gry w Baden i w Hamburgu, niejaki p. Dupressoir, Francuz, pozazdrościwszy p. Blanc kolosalnych zysków jakie gromadzi w Monaco, umyślił założyć dom gry w Fuenterabia, na samym krańcu południowo-wschodniej granicy francuzko hiszpańskiej. P. Dupressoir nie mógł wybrać lepszej miejscowości; wiadomo że „ruleta“ została zakazaną w Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i Francyi; otóż założył dom gry na granicy Francyi i Hiszpanii, w mieścinie która wprawdzie podlega rządowi madryckiemu, ale jest tak odosobniona iż prawie żadnych z tymże rządem nie ma stosunków i nic ją nie obchodzą jego postanowienia, tak co do gry jak i co do innych rzeczy, W prawdzie municypalność Fuentarabi miała niejaki skrypuł aby zaraza „czarna czy czerwona“ nie rozkrzewiła się wśród jej podwładnych, ale zaradził temu p. Dupressoir zobowiązując się że żadnego z miejscowych mieszkańców nie dopuści do gry, a nadto zapłacił tejże municypalności 16,000 fr. za nędzny domek i kawałek gruntu; prócz tego wydaje *co miesiąc* 30,000 fr. na reperacye i ulepszenia, aby Fuenterabia, nie potrzebowała zazdrościć świetności Hamburga. Jakby za dotknięciem czarnoksięskiej laski, lichy domek zamienił się w piękny pałacyk; na jałowym, piaszczystym gruncie ukazały się rozkoszne gaje, zielone murawy otoczone prześlicznemi kwiatami. Gdzie rzucić okiem widać prześliczne kioski, w których kryje się orkiestra; słowem altany, gaje, kioski, kursale, restauracya, gabinety do czytania, urządzone są z takim przepychem i gustem, iż przybywszy tu, wygnańcy hambursey mogliby uwierzyć że cudownym jakimś sposobem dom gry w Fuenterabia zamienił się w Hamburgski.

Dzienniki angielskie, a między innemi *Times* nazywa zakład p. Dupressoir „a Hell“ to jest piekło, otóż aby pokazać że nazwa jest niewłaściwa, właściciel zaraz po ukończeniu pałacu i ogrodu, udał się do miejscowego proboszcza, świątobliwego i bardzo miłosiernego kapłana, z prośbą aby raczył być na instalacyi i poświęcić uroczyście jego zakład. Zacny kapłan zmarszczył brwi i grzecznie odmówił. Dupressoir nalegał, obiecując że w dniu otwarcia zarządzi kwestę na biednych i znaczną sumę złoży w ręce proboszcza; nic to nie pomogło. Wtedy Dupressoir rzekł grzecznie: „Księże proboszczu, widzę że należysz do ludzi których przekonań nic zachwiać nie zdoła; tak samo postąpił sobie p. Thiers, który nie chciał nam pozwolić wskrzesić dawne Frascati na gruzach Tuileries, Meudon lub Saint-Cloud, choć chcieliśmy się zobowiązać że po latach dziesięciu oddamy wszystkie te pałace zupełnie odrestaurowane i umeblowane.

Często późnym wieczorem wychodzę na ulice przyległe do *Puerta del Sol* przy którym mieszkam, aby tam z oddali przysłuchiwać się serenadom które romansowi Hiszpanie wyprawiają swoim *donom*. Zajął mnie szczególniej głos i rzewne miłosne pienia jakiegoś młodego hidalgo, który co kilka dni przychodził śpiewać pod balkonem pewnego domu, nieopodal którego wznosiła się w niszy figura N. Panny.

W domu tym mieszkała z matką cudnie piękna dziewczyna, żywa, wesoła, pełna uroku, namiętna jak wszystkie Hiszpanki. Młodzieniec kochał się w niej szalenie, grywał pod jej balkonem na gitarze i wyśpiewywał ogniste wyznania miłosne, w których drgała gorąca jego miłość. Dźwięk strun rozlegał się na ulicy wśród nocnej ciszy, a wyznania i pieszczotliwe nazwy unosiły się ku balkonowi, jakby pocałunki miłosne upajające rozkosznie zakochaną dziewczynę. Powoli podnosiła żaluzje, i cicho i nieśmiało odpowiadała ukochanemu na jego pełne czci i uwielbienia oświadczenia. I nie raz całe godziny rozmawiali tak z sobą, niby kochankowie z komedyi Kalderona, co powszechnie przyjęte jest w Hiszpanii i nazywane: hablarà ta reja (rozmowa przy kracie).

Od jak dawna trwały te miłosne pogadanki, nie wiem, podsłuchałem je kilka razy. Zajmowała mnie i zaciekawiała bardzo ta idylla. Poszedłem znów pewnego wieczora i jak zwykle zastałem młodego hidalga z gitarą; grał, śpiewał, a mimo to okno nie otwarło się, żaluzje nie podniosły, widać było że w pokoju nie ma światła. Cóż się to znaczy? Czyżby ukochana jego opuściła to mieszkanie, czy gdzie odjechała?... Czyż nie zobaczy już tej anielskiej postaci co pochylona na balkonie, jednem uśmiechem lub spojrzeniem, jednym rzuconym kwiatkiem, dawała mu niebiańskiego kosztować szczęścia.

Straszne przeczucie ścisnęło mu serce, załamał dłonie i drżał jak listek.

W tem drzwi domu się otwarły, kobieta jakaś wyszła na ulicę; postąpił ku niej:

— Na miłość Bozką co się stało z doną Juaną... gdym przyszedł zawsze wychodziła na balkon... dozwalała w pieśni przelać uczucia moje... miałem nadzieję... a dziś... dziś... Co się stało?... co się stało?...

— Więc kochałeś ją?

— Nad życie!

— Żal mi cię! odrzekła kobieta... dona Juana umarła na chorobę sercową... pogrzeb odbył się dziś rano.

— Umarła!... dona Juana!... moje życie!... moje niebo!... umarła!... Umarła! powtarzał zmienionym głosem, z ponurą twarzą.

Sądziłem że dostał pomieszania zmysłów. Stał czas jakiś nieruchomy, powtarzając tylko jakby bezprzytomnie: Umarła! umarła!...

Nagle zatrząsł się i powlókł przed figurę N. Panny.

— O! Święta Dziewico! zawołał, Juanę kochałem bo była jak ty piękną, jak ty niebiańską istotą .. miłość moja dla niej była zarazem czcią składaną Tobie... Teraz gdy jej już nie ma... gdy dusza jej zjednoczyła się z twoją w łonie Przedwiecznego... pozwól niech przed tobą odśpiewam serenadę którą dla niej śpiewać miałem...

Zaczął przegrywkę na gitarze, i długo, długo klęcząc na bruku przed figurą, improwizował, rozpacz swoją przelewając w pieśni.

Skończywszy powstał, z siłą rzucił gitarę która rozbiła się o bruk. Juano! Juano! zawołał rozdzierającym głosem, wyjął nóż, ugodził nim w serce i padł bez życia.

Ja i kobieta owa przyskoczyliśmy do niego, zacząłem krzyczeć wołając ratunku; nadbiegło kilku serenosów, podnieśli nieszczęśliwego, krew płynęła strumieniem... już nie żył.

Straszne to na mnie zrobiło wrażenie, co widząc kobieta rzekła: „Musisz pan być cudzoziemcem, my tu jesteśmy oswojeni z podobnymi wypadkami i spokojniej je przyjmujemy. Jeśli dłużej pozostaniesz u nas, nieraz dowiesz się lub tak samo będziesz świadkiem straszniejszych jeszcze wydarzeń... Gdy wrócisz do swego kraju powiedz tam jak kochać umiemy“.

Rozeszliśmy się, ale choć to już parę tygodni temu, ciągle mam przed oczami tę piękną dziewczynę i tego młodzieńca, których widziałem przy świetle księżyca rozkochanych i szczęśliwych i którzy tak nagle do lepszego przenieśli się świata.

W następnym liście opiszę niektóre miejscowe i narodowe hiszpańskie uroczystości i zwyczaje.

K. G.

Przegląd literacki.

Błękitna książeczka, powieść przez Waleryę Marrené.

Młodziutka księżniczka Natalia Staromierska straciwszy matkę, a mająca ojca który o nią nie dbał wcale, mieszka pod opieką rodzonej siostry i szwagra (hrabiostwa Romińskich). Atmosfera pałacu Głogowskiego przejmuje zimnem i chłodem. Hr. Emilian pan wielce dystyngowany lecz szyderczy i zdający się nikogo nie kochać: hr. Aurelia o przygasłem oku, automatycznym ruchu, jednotonnym głosie widmo, z dodaniem Drylskiej ochmistrzyni, wypełniającej swoje obowiązki machinalnie z zegarkową dokładnością, stanowią jedyne otoczenie pełnej życia, pragnień i nieokreślonych marzeń dziewicy. Jej tam duszno i ciasno, ona wyidealizowawszy w swej wyobraźni inny świat, świat miłości i poświęcenia, chce kochać i być kochaną, tymczasem wszędzie gdzie spojrzy widzi tylko automatyczną martwość lub służalczą pokorę. Starający się o jej rękę w skutku przyzwolenia nieobecnego ojca księżniczki, jakoteż poparcia siostry i szwagra tejże, hr. Leopold — pomimo swego bogactwa, znaczenia i zewnętrznych przymiotów ciała, nie jest niczem więcej jak tylko bezmyślną salonową laską. Nieszczęście mieć chciało iż właśnie w chwili przybycia do Głogowa wspomnionego konkurenta, zjawił się tamże młody nauczyciel, świeżo do małego synka państwa Romiń-

skich przyjęty. Zobaczyć, pokochać, a nawet uwiadomić pedagoga o gorących popędach serca, było dla rozmarzonej dziewicy dziełem jednej niemal chwili. Do tak szybkiego rozwoju uczuć przyczyniło się niemało znalezienie błękitnej książeczki, w której pan guwerner zapisywał elukubracye swoich niedowarzonych myśli. Młody, piękny, prześladowany srogim losem a do tego poeta. Czyż potrzeba więcej do rozbudzenia szału rozmarzonej księżniczki? Odmówiła stanowczo swej ręki hr. Leopoldowi; gdy zaś rodzina przekonała się iż głównym powodem odmowy były owe niefortunne wiersze w błękitnej zawarte książeczce, oddalono bez ceremonii nauczyciela. Wtedy Natalia biorąc utwór swej wyobraźni za rzeczywistość, nie zawahała się uciec z nim razem.

Szwagier dogonił zbiegów w m. Włocławku, a korzystając ze snu siostry żony, i przekonawszy się iż złe nie było jeszcze tak wielkiem, zmusił pogróżkami i datkiem pieniężnym nieodznaczającego się zbytnią szlachetnością uczuć wierszokletę do opuszczenia kraju, i odprowadził go dla większej pewności na kolej żelazną. Przez ten czas księżniczka obudziła się, a znalazłszy na stole list swego ideału, list w którym tenże zdarł gwałtownie z jej oczów zasłonę ułudy, owładnięta rozpaczą, pobiegła do Wisły szukając śmierci.

We Wrocławku mieszkał wtedy człowiek szanowany powszechnie, doktór którego zadaniem życia stało się nieść zawsze pomoc cierpiącej ludzkości. Osobistość owa dziwnym zbiegiem okoliczności wmieszaną była w życie hrabiowstwa Romińskich. On to pełniąc przed laty obowiązki lekarza nadwornego w rodzinie hr. Aurelii, oczarowany jej wdziękami a więcej jeszcze pociągnięty kokieteryą, napisał do oddającej w widokach materyalnego interesu rękę hr. Emilianowi dziewicy, list pełen czułości. Miłosne pismo wpadło w ręce pana domu i zachwiawszy szczęście domowe, wyrodziło ten chłód zobopólny, to ciągłe szyderstwo męża, to przygnębienie apatyczne żony, jakie nam tyle dosadnemi rysy przedstawia autorka przy zawiązaniu się akcyi swojej opowieści. Hr. Emilian nie mógł przebaczyć towarzysce swego życia fałszu i kłamstwa, nie mógł również uwiedziony pozorami położyć na karb prostej zalotności ówczesnego jej postępku.

Otóż wspomniony doktór Marceli przechadzając się nad brzegami Wisły uratował tonącą Natalię, i przy pomocy młodej swej żony Cecylii otoczył ją troskliwą pieczołowitością w czasie długiej a niebezpiecznej choroby. Księżniczka powróciwszy do zdrowia wytrzeźwiała ze swego obłędu, i poznała na jak fałszywą drogę gra wyobraźni wprowadzić może młodą nieznającą świata panienkę, która pierwszego lepszego spotkanego człowieka obleka w ponętne szaty własnych swych illuzyi. Nauczyciel przedstawił się teraz w jej myśli tem czem był w istocie: nędznym sztukmistrzem, o prozaicznych dążnościach kuglarzem, który nietylko przed ludźmi, ale nawet przed samym sobą odgrywa ciągle komedyę; co więcej chłodna postać siostry, szyderczy ton szwagra straciły pod naciskiem górującego nad szałem wyobraźni rozsądku, wiele ze swych ujemnych zarysów. Z własnej więc woli powodowana poczuciem obowiązku, objawiła chęć powrotu pod dach szukającej ją wszędzie rodziny.

Rozmowa Marcelego z hr. Emilianem, który przyjechał wezwany telegrafem po Natalię, otworzyła oczy temu ostatniemu. Hrabia przekonawszy się iż łatwe do wybaczenia błędy nierozwagi u młodych kobiet wziął za zbrodnie — pojednał się z żoną, przycisnął do serca wyleczoną stanowczo z zaślepienia illuzyi księżniczkę: i dotąd wszyscy byli szczęśliwemi o tyle, o ile niemi ludzie w szczupłym zakresie domowego ogniska być mogą. Świat bowiem pozostanie na zawsze nieprzebłaganym dla tych, którzy w czemkolwiekbądź naruszyli prawa rządzące społeczeństwem. W tem subtelnem rozgraniczeniu następstw błędu od skutków występku, znajdujemy logiczną stronę życia. Autorka nie moralizuje swych czytelników długiemi traktatami filozoficznemi; lecz pokazuje im wyniki popełnionych zboczeń w zastosowanej ściśle do wielkości przewinienia karze, i tym sposobem streszcza w zakończeniu przewodnią myśl jaka jej piórem przy kreśleniu dzieła kierowała.

Oto jest treść powieści p. t. „Błękitna książeczka". Począwszy od ekspozycyi aż do epilogu, wszystkie szczegóły utworu p. Waleryi Marrené tchną życiem, tryskają prawdą i obudzają zajęcie konsekwentnem ugrupowaniem faktów. Nie ma tam żadnych niepotrzebnych dodatków, żadnych tyle rażących czytelnika rozwlekłości. Opowiadanie rozwija się prosto, jasno, wdzięcznie — obrazowanie zaczerpnięte z natury wypływa jednym tchem z pod pióra, a czystość języka nic zupełnie nie pozostawia do życzenia. Charaktery działających osób a mianowicie nauczyciela Kaliny skreślone są wyborne: ileż to widzieć się zdarzy na świecie podobnych karłów przesiąkłych prozaicznem życiem, którzy wszedłszy na szczudła uczucia, poezyi, idealnych marzeń, wydają się w oczach niedoświadczonych dziewic olbrzymami, którzy wreszcie i sami siebie zdołali obałamucić mniemaną swoją wielkością. A ów cichy dramat odgrywający się w złoconych salonach pałacu Głogowskiego, a owa wewnętrzna walka serc osłonięta pozorami etykiety towarzyskiego życia, z jakąż znajomością stosunków społecznych są skreślone! Widocznie pani Marrené zaczerpnęła z życiowych źródeł składowe części swego obrazku; w opisach znowu i dyalogowaniu trzymając się ściśle wytkniętego poprzednio toru, omijała starannie szkopuły czczej frazeologii. Znam jedną zaszczytnie zkądinąd znaną na polu literackiem autorkę, która nie umie najprostszego faktu opowiedzieć bez ubarwienia takowego górno-lotnie brzmiącemi frazesami. Młody np. człowiek bohater powieści obudził się i wstał. Rzecz nader prosta na pozór. Otóż *to ocknięcie się z krainy marzeń* ubarwione *złotemi promykami gwiazdy dnia* zaglądającemi ciekawie w ociężałe snem powieki *i igrającemi z kędziorami jasno-bląd włosów młodzieńca*, budzi niezwykłą ckliwość. W ocenianej przez nas powieści nikt podobnie przesadzonych określeń nie znajdzie, a owa właśnie jasność stylu, obok wewnętrznych zalet sprawia, iż „Błękitna książeczka" czyta się z przyjemnością i zajęciem.

Z innej jednak strony p. Marrené czując ową Scyllę i Charybdę, a starając się ją bezwarunkowo ominąć, popadła w kilku miejscach w drugą ostateczność, skracając zbytecznie niektóre szczegóły mogące uwydatnić całość. Do takich skróceń zaliczymy zbyt pobieżną wzmiankę o synku hrabiowstwa Romińskich, niedostateczne wyjaśnienie nieobecności ojca Natalji, i wreszcie za nagłe rzucenie się księżniczki w objęcia pedagoga. Należałoby zdaniem naszem choć w kilku wierszach objaśnić, dla czego to dziecko usuniętem zostało w głąb podwórza, pozbawionem widoku ojca, matki, a wreszcie ciotki mogącej znaleźć niejaką osłodę smutnego swego życia w pieszczotach niewinnej istoty; obojętność bowiem męża dla żony i jej własne przygnębienie, nie jest dostatecznym powodem do przygłuszenia w sercu matki miłości rodzicielskiej dla jedynego syna, obojętności zaś szukającej wrażeń serca dziewicy dla swego siostrzeńca zupełnie wytłomaczyć nie można. Nieobecność ojca Natalii, który w powieści jest jakimsić niepochwyconym mytem, niczem nie została upozorowaną, a postępek młodej panienki dający się po części wytłomaczyć jej usposobieniem i wpływem zewnętrznych okoliczności, w każdym razie zdaje nam się nazbyt gwałtownym. Najbardziej nawet egzaltowana dziewica, nie rzuci się na szyję obcemu człowiekowi którego zna tylko z kilku mniej niż miernych ód i sonetów. Dodaniem dwóch lub trzech stronic, i skreśleniem w nich stopniowego przejścia z obojętności do szału, zyskałaby konsekwentność opowiadania.

Jesteśmy przekonani, iż te drobne usterki wypłynęły z woli samej autorki pragnącej przedewszystkiem być zwięzłą. Znakomity bowiem talent nie tylko w przedstawieniu charakterów, ale w całym ustroju dzieła, okazuje aż nadto dobrze iż pani Marrené błądzić bezwiednie nie umie. W każdym razie owe małe niedokładności giną na jasnem tle dodatnich szczegółów powieści stając jako nieznaczne, łatwe do usunięcia plamki jedynie przed oczami fachowych recenzentów, przywykłych dopatrywać zawsze cieni obok świateł.

Ludwik Niemojowski.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pannie Maryi Z. w Legicznie. Żądane numera Bluszczu wysłaliśmy pod opaską. Do przesyłki dołożyć musieliśmy kop. sr. 20.

Pani E. w Zarożarach. Pierwszą książeczkę na Gwiazdkę wysłaliśmy, Grochowy wianek kosztuje kop. sr. 40, u nas pozostało tylko kop. 22.

Pani M. E. O. w Nowodworku. Obie książkowe posyłki wysłaliśmy w właściwym czasie; od ostatniej pozostało w depozycie naszym kop. 10.

Pani Olimpii M. w Hulach. Książki wysłane, pieniędzy wystarczyło.

Pannie Annie H. w Bulawku. Obu żądaniom zadosyć uczyniliśmy. Do pierwszej posyłki dołożyliśmy kop. sr. 31.

Pani Izabelli G. w Dynaburgu. Kalendarz posłany kosztuje kop. sr. 50, opakowanie i opłata pocztowa wyniosła kop. sr. 37, razem 87. Dług przeszłoroczny potrącony. Brakło jeszcze kop. sr. 4.

Pani Maryi D. w Montwilasach. Gramatyka niemiecka Westbergera chwilowo wyczerpana; reszta wypisanych książek wysłana. Pozostało w depozycie naszym rs. 1 kop. 37.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 3 (15) Февраля 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Opis do N. 7.

N. 1. Ubranie balowe.

Suknia tarlatanowa lub gazowa z materyału gładkiego albo z gładkiego w muszki, oprócz plisowania i bufy przybrana jest plisami, szarfami i kokardami z atłasu, tego samego lub odmiennego koloru. Pod spódnicę przykrojoną z małym trenem, poddaje się podszycie z tiulu, ażeby sute, 7 cent. szerokie plisowania miały mocniejszą podstawę, a gaza czy tarlatan nie tracił klarowności. Przedni bryt sukni pod tuniką, od góry aż do dolnego garnirunku jest ułożony w płasko zaprasowane, 4 cent. szerokie kontrafałdy. Tunika fartuszkowa, w ząb ścięta z przodu, mająca 120 cent. długości a 300 szerokości, ozdobiona drobno plisowanemi, 7 cent. szerokiemi falbankami i prawie równie szerokiemi atłasowemi plisami, jest z boków mocno przyfałdowana i podpięta, a z tyłu schodzi się pod oddzielnie dodanym brytem. Bryt ten mający 136 cent. szerokości a 150 długości, w górze jest ściśle zfałdowany i do paska wszyty, dalej w bufy ułożony i podpięty szarfami i puklami atłasowemi, 16 cent. szerokiemi. Gładki stanik do paska, może być z atłasu odrobiony lub tylko atłasem ubrany; berta i krótkie bufowane rękawki ogarnirowane są plisowaniem i przybrane pliskami i kokardami atłasowemi.

N. 2. Strojne wieczorowe ubranie.

Z przodu skośnie zapinana suknia formą princesse, ze stanikiem wyciętym w carré, przybrana jest upięciem zwanem *„Echarpe Almée"* z bryta materyi 70 cent. szerokiego a 300 długiego, któren od góry wywija się na wierzch, przypina do sukni na guziczki i dziurki od spodu dodane, z boków trochę fałduje, z tyłu lekko przerzuca na węzeł a końce spuszcza wzdłuż trenu; ząb przy górnej części upięcia odznaczony jest naszyciem garnirunku. Model sukni odrobiony był z pięknej, orzechowej popeliny, a przybrany szlakami haftowanemi w maszynie na materyi białej, kordonkiem bronzowym, niebieskim i orzechowym, frendzlą jedwabną w tych co haft kolorach i drobnem plisowaniem z popeliny. Fason ten i rodzaj przybrania będzie bardzo odpowiedni do sukni ciężkiej jedwabnej z szarfą z crêpe de chine lub aksamitnej z szarfą koronkową.

N. 3. Szlak i frendzla z kulek do sakiewki, ryc. 17 w N. 8.

N. 4—5. Haft na poduszkę do kanapy, odrobiony na suknie kordonkami kolorowemi.

Ryc. 5 przedstawia w naturalnej wielkości cokolwiek więcej jak $^1/_4$ część deseniu wyszywanego na suknie bronzowym, puszystną filozelą, ściegiem branym wstecz jak w stębnówce. Kontury deseniu odznaczone są cienkim sznureczkiem czarnym jedwabnym, przyszywanym jedwabiem. Gęsto na tle rozsiane ściegi, dawane są w różnych kierunkach, prosto, poprzecznie, skośnie w ząbki lub na krzyż, co czyni całość ładną i niezwyczajną. Piękność jednak roboty zależy głównie na umiejętnem dobraniu cieni, które łagodnie łączyć się powinny w jedną całość, bez widocznych odgraniczeń. Opisać takiego stopniowania niepodobna; tu bowiem przewodniczyć musi wykształcony gust i wprawa. Na modelu środkowe gwiazdki w narożnikach były białe; z czterech figur arabeskowych przy kwadracie dwie zwierzchnie odrobione czterema cieniami fijołkowemi, dwie pod kwadrat podchodzące czterema cieniami rubinowemi, kwadrat zaś miał ząbki z brzegów niebieskie a środek zapełniony 4-ma cieniami orzechowemi. W figurze skośnie kwadrat przecinającej dolna, narożna arabeska zarobiona była 4-ma cieniami niebieskiemi, prosty pas przechodzący do środka poduszki był z 4-rech cieni żółtawo-piaskowych z brunatnemi ząbkami po brzegach, zaś arabeska dodana w końcu górnym, zrobiona z cieniami karmazynowemi i dwoma szamoa. Do gwiazdy w samym środku poduszki użyto 4-rech cieni żółtawo piaskowych, zaś do arabesek rozdzielających narożniki w części środkowej (licząc od góry) najpierw 3 cienie niebieskie, dalej jeden szamoa, jeden niebieski, 3 żółtawo-piaskowe i 3 karmazynowe, wąsy zaś boczne odrobione były 4-ma cieniami zielonemi.

N. 6. Haft szenelowy na poduszkę do kanapy.

Do tła ze skóry, aksamitu albo atłasu, wyszyty jest w koło szlak odrobiony na kanwie szenelą niebieską i rubinową i jedwabiem maisowego koloru. Brzegi szlaku oszyte sznurkiem złotym; na środku umieszczony czworokąt z literami haftowanemi złotem, z pod którego wyglądają narożniki kwadratu, zapełnione takim jak szlak haftem. Próbę roboty podaliśmy w N. 6 Tygodnika, ryc. 17. Model miał tło z aksamitu szafirowego.



N. 1. Ubranie balowe.

N. 2. Strojne wizytowe ubranie.

N. 7 i N. 27 w N. 8 Tygodnika. Stołeczek pod nogi. Robota na kanwie.

Kwadratowy, drewniany postument stołeczka ma 36 cent. długości a 10$^1/_2$ wysokości; boczne ściany zwierzchu obite są kamlotem lub repsem czarnym, wierzch zaś jest lekko wysłany i pokryty robotą na kanwie, której próbkę w naturalnej wielkości podamy w N. 8 na ryc. 17. Włóczka może być angielska albo berlińska, stosownie do grubości kanwy. Ściegi długie i na jednej nitce dokładnie oznaczone na próbce. Brzegi figur obwiedzione są włóczką czarną a środki zapełniane na przemian 4-ma cieniami niebieskiemi i żółtawo-orzechowemi, na cień najjaśniejszy można użyć filozeli. Gruby sznur kręcony w kolorach roboty, służy do oszycia brzegów i na uszy; frendzla kręcona czarna lub szafirowa pokrywa całe boki. Zmiana kolorów zależy zupełnie od woli, byle tylko cienie były pięknie dobrane.

N. 8. Wstawka. Robota szydełkowa przy tasiemeczce.

N. 9. Kapturek dla lalki, robota szydełkowa z włóczki miękkiej i cienkiej.

Kapturek upina się z chusteczki trzymającej 24—30 cent. w kwadrat, robionej bardzo luźno w ząbki czyli dziurki z o. powietrznych przyrabianych o. ścisłemi. Małe panienki chętnie na robotach dla lalki nauczą się roboty szydełkowej lub na drutach.

N. 10. Chusteczka dla lalki robiona na drutach.

Kwadratowa, 16—20 cent. trzymająca chusteczka niebieska z włóczki zwanej *„Mooswolle"*, zaczyna się na grubych stalowych drutach na o. 3 i robi tam i napowrót ciągle gładko, zdejmując na początku każdego druta pierwsze oko, a przybierając jedno przy drugiem. Gdy się tym sposobem otrzyma trójkąt liczący w ostatniem obrobieniu o. 69 (na trochę większą chusteczkę 75) zaczyna się gubienie czyli zrabianie razem drugiego i trzeciego oka na początku drutów aż do 3 oczek które zarabia się łańcuszkiem. Wykończoną chusteczkę obrabia się dwa lub 3 razy ząbkami szydełkowemi, z 5 o. powietrznych przyrabianych 1 o. ścisłem, przybierając w rogach po jednym ząbku w każdem obrobieniu. Do ostatniego rzędu przywiązuje się frendzlę z 4-rech nitek włóczki. Pracowite panienki mogą tym sposobem zrobić chusteczkę dla siebie.

N. 11—13. Torebka do robót. Wyszywanie na tiulu.

Zwierzchnie pokrycie kieszonki, (którą można odrobić z przegródkami na drobiazgi do szycia potrzebne, albo bez przedziałów, na schowanie roboty) stanowi tiul grosbotowy, wyszyty filozelą białą i niebieską, z podłożeniem niebieskiej wstążki. Próbki roboty podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 12—13. Pod tiul daje się kolorową podszewkę i sztywny perkal lub muślin; model miał 12 cent. szerokości a 52 długości, zresztą wielkość zupełnie zależy od woli. Brzegi oszywa się wązką wstążeczką, a wykończoną kieszonkę składa się jak pugilares i wiąże na kokardkę.

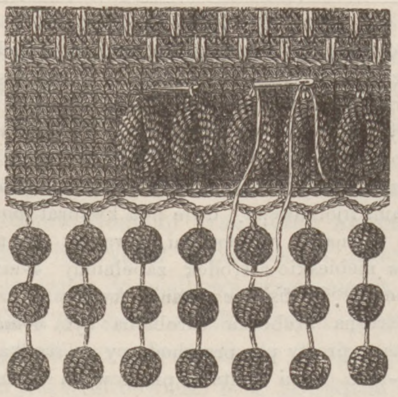
N. 14—15. Rzucik do haftu płaskiego na poduszki i t p.

N. 16—17. Kolorowe spódniczki i majtki.

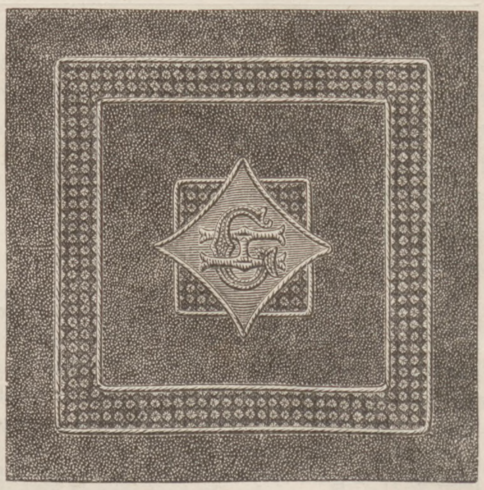
Pod wązkie teraźniejsze suknie, więcej od watowanych używają spódniczek z miękkiej i ciepłej flanelki z majt-



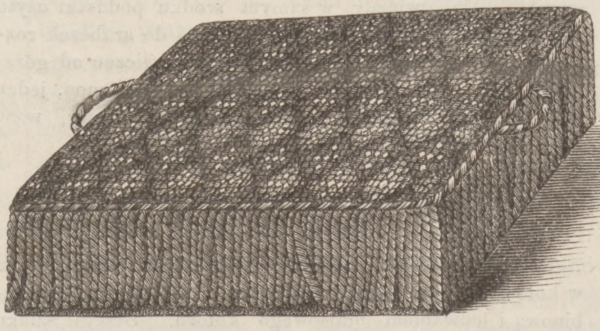
N. 4. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 5.



N. 3. Szlak i frendzla z kulek do sakiewki ryc. 17 w N. 8.



N. 6. Haft sznelą na poduszkę do kanapy.

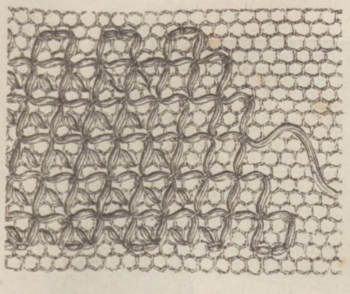


N. 1. Podnóżek. Robota na kanwie.

kami z tego samego materyału. Krój majtek i wązkich oraz krótkich spódniczek podawaliśmy w roku przeszłym. Model odrobiony był z flanelki ponsowej, a oszyty koronką nicianą białą, obwodzoną bawełną ponsową. Koronkę trochę nadmarszczoną przyszywa się do listewki perkalowej i do spódniczki w ten sposób ażeby ząbki dziergane włóczką ponsową, zachodziły na koronkę. Do majtek pod 6 cent. szeroką falbanę z flanelki, koronkę przyszywa się do równie szerokiej falbany z wiktoryi, którą wszywa się w listewkę i fastrzyguje do paska do zwierzchniej falbany. W dni chłodne albo do wyjścia w czasie błota, na taką spódniczkę w miejsce białej, kładzie się niedługą spódniczkę z atlasu albo fularu, czarnego lub kolorowego, zrobioną na podszewce, przepikowaną w maszynie, u dołu objętą aksamitem i przystrojoną plisowaniem, koronką i aksamitką, w sposób wskazany na ryc. 17.



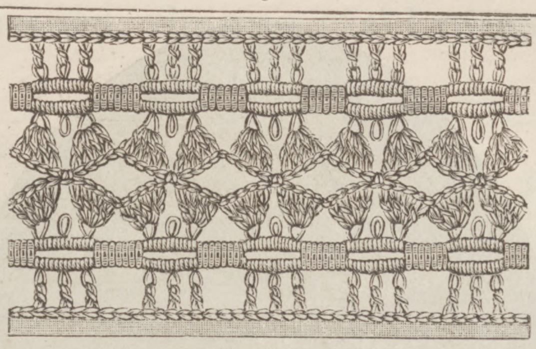
N. 5. Część deseniu wyszytego ściegiem stębnowanym, do ryc. 4. Wielkość naturalna.



N. 12. Wzór wywodzenia na tiulu do ryc. 11. ściegi spodnie.

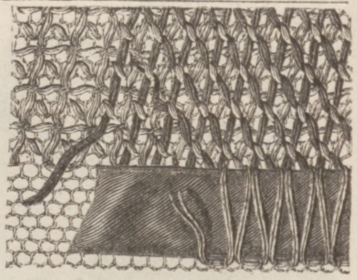
N. 18. Piłka dla małych dzieci, robiona na drutach z włóczki kastorowej.

Piłka robiona na drutach drewnianych, ściegiem patentowym, w środku lekko wysłana watą, jako lekka i niemogąca zrobić szkody, zaleca się dla małych dzieci do gry w pokoju. Model mający 33 cent. obwodu, składał się z 12 pasów różno-kolorowych, robionych wzdłuż, a zaczętych na o. 24. Każden pasek śpiczasto w końcach zwężony, obrabia się 6 razy tam i napowrót, dwa pierwsze razy przez wszystkie oczy, w dalszych zawsze na końcu każdego druta zmniejsza się liczbę oczek przerabianych o. 2, tak że w ostatniem obrobieniu przerabiamy tylko o. 14. Następny pasek robi się w dalszym ciągu przez wszystkie oczka, (czyli przez 21) i gubi jak poprzedzający. Gdy mamy wszystkie paski wykończone, wkłada się w środek piłeczkę z waty i zrabia pasek końcowy z pierwszym.



N. 8. Wszywka. Robotą szydełkową z plecioneczką.

kości próbkę szlaku którym przyszyty jest obrąbek; szlaczek ten wywiedziony jest w połowie na obrąbku a w połowie na woaliku. Drugi szerszy szlaczek, wyszyty u dołu $1\frac{1}{2}$ cent. nad obrąbkiem przedstawia ryc. 25; do wywodzenia służy czarna filozela. Woalik 200 cent. długi okręca się końcami koło szyi.



N. 13. Wzór wyszycia na tiulu do ryc. 11. Ściegi zwierzchnie.

N. 23. Kamień do szycia ozdobiony robotą szydełkową.

Czworokątna szkatułka z czarnego politurowanego drzewa, nabijana polerowaną stalą a napełniona opiłkami żelaza, stanowi kamień do szycia. Cztery równe ściany boczne mają po $7\frac{1}{2}$ cent. długości i tyleż wysokości; na wierzchu wklejona poduszka wyściełana, pokryta robotą szydełkową, z kordonku jedwabnego, w o. ścisłe. Na modelu na tle niebieskiem, dane były małe muszki czarne i złotego koloru; przy końcu każdego rzędu urywa się nitkę i zaczyna rząd następny od góry z tej samej strony, biorąc zawsze w spodnią część łańcuszka poprzedzającego rzędu. Po wykończeniu robota powinna być gładko rozciągnięta na poduszce, a w środku wkręca się rączkę stalową do przenoszenia kamienia.



N. 9. Kapturek dla lalki. Robota szydełkowa.



N. 14. Rzucik. Ścieg płaski.



N. 15 Rzucik. Ścieg płaski.



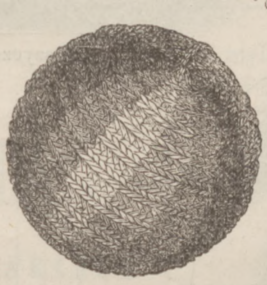
N. 16 Spódniczka flanelowa i majtki.



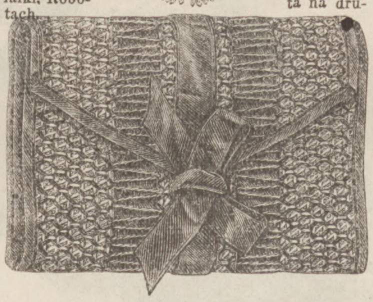
N. 17. Spódniczka z atłasu pikowanego, oszyta plisowaniem i koronką.



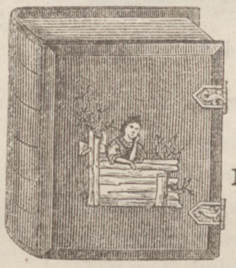
N. 10. Chusteczka dla lalki. Robota na drutach.



N. 18. Piłka włóczkowa.



N. 11. Torebka do robót. Patrz ryc. 12—13.



N. 19. Album z okładką malowaną na atłasie.

N. 19. Album z okładką malowaną na atlasie lub innej, białej lub kolorowej materyi.

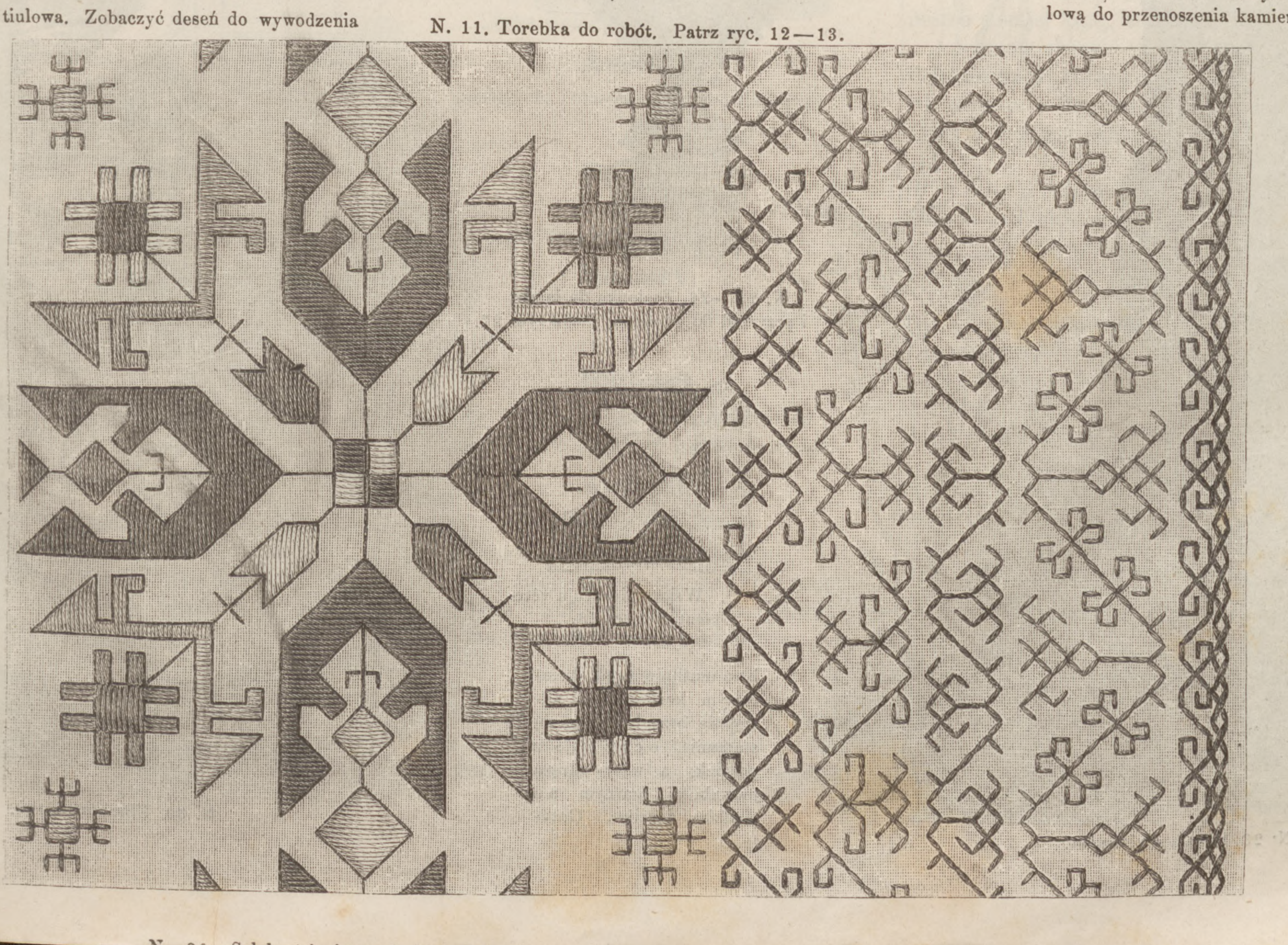
N. 20. Deseń do ryc. 14 w N. 8. Haft płaski i ściegiem jednakowym na obiedwie strony.

N. 21. Krawatka tiulowa. Zobaczyć deseń do wywodzenia na tiulu ryc. 26 w N. 8 Tygodnika.

Długość krawatki 120, szerokość 20 centymetrów.

N. 22. Woalik tiulowy. Deseń do wywodzenia podamy w N. 8, ryc. 24—25.

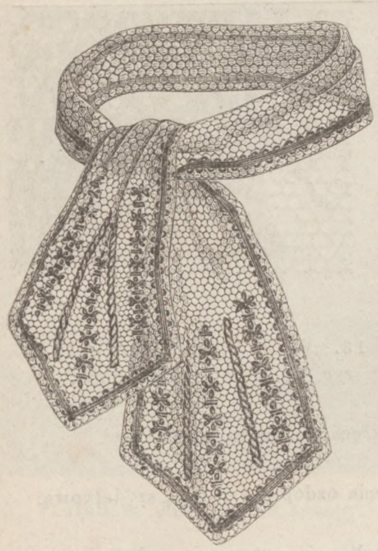
Woalik z czarnego jedwabnego, grosbotowego tiulu mający 100—200 cent. długości a 30 szerokości, u dołu i z boków zakończony jest obrębkiem 2 cent., a w górze 1 cent. szerokim, na które przypuszcza się tiulu w krajaniu. Ryc. 24 w N. 8 podaje w naturalnej wiel-



N. 24. Koszyczek do nici. Wyszycie na kanwie papierowej.

Kupuje się gotowy koszyczek z grubej i sztywnej kanwy papierowej, naśladującej skórę, na takowym wyszywa się łatwy deseník, długim ściegiem, szenilą, filozelą lub włóczką w dwóch kolorach a w środek wkleja podszewkę jedwabną. Wyszycie z łatwością wykonać mogą nawet małe panienki.

N. 20. Szlak ściegiem płaskim



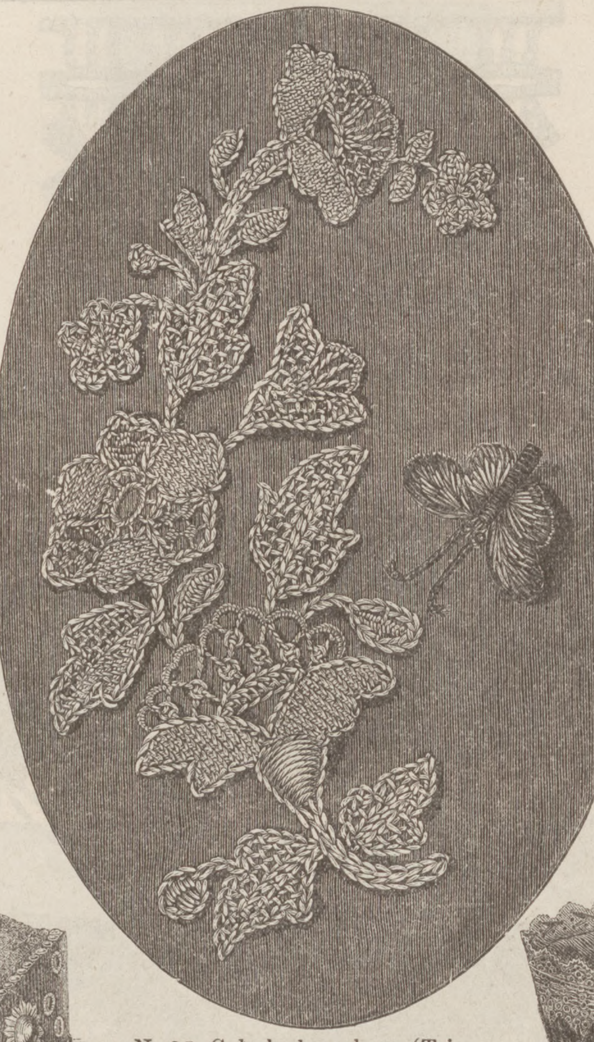
N. 21. Krawatka tiulowa.

N. 25—27. Zasłonka do lampy i przyrząd do gaszenia.

Ryc. 25 przedstawia zasłonkę bardzo dogodną dla osób cierpiących ból oczu, albo mających wzrok osłabiony; daje się bowiem z łatwością przyczepiać do każdej lampy, posuwać według potrzeby, tak ażeby dawała cień siedzącej osobie a nie przyćmiewała światła w pokoju.

Za podstawę do zasłonki służy owal z grubego mosiężnego druta, mający 18 cent. długości a 14 szerokości, w górze zakończony haczykiem do zaczepiania, a u dołu obrączką do podnoszenia. Ta foremka pokrywa się na dwie strony fularem zielonym, zeszytym na drucie z brzegu, a na zeszyciu ogarnirowanym w koło riuszą z zielonej wstążki, 2—3 cent. szerokiej. Zwierzchnią stronę zasłonki można przyozdobić koronką robioną na tiulu, cienką robotą szydełkową, albo tak zwaną koronką „*Trina di lana*“ której wzór naturalnej wielkości podajemy na ryc. 27; obszerniejszy opis i próbki tej roboty podaliśmy w N. 18 Tygodnika z roku zeszłego. Model gałązki odrobiony był z kordonku crême, a mały motylek haftuje się ściegiem płaskim na sztywnym i grubym muślinie, różno-kolorowym kordonkiem; następnie brzegi wycina się starannie, oczy daje z perełek, a wąsy okręca jedwabiem czarnym na cienkim druciku. Gotowego motylka przyczepia się do materyi w ten sposób jak gdyby frunął do gałązki.

Ryc. 26 przedstawia przyrząd do gaszenia lamp, złożony z bańki kauczukowej, pokryty robotą włóczkową na drutach, i z rurki zakrzywionej szklannej, ściśle do bańki dopasowanej. Koniec rurki zakłada się w kinkiet, a bańkę lekko ściska w ręku (jak to wskazuje ryc. 26), a pęd poruszonego powietrza gasi płomień prędko i zupełnie.



N. 27. Gałązka koronkowa (Trina di lana) do zasłonki ryc. 25.

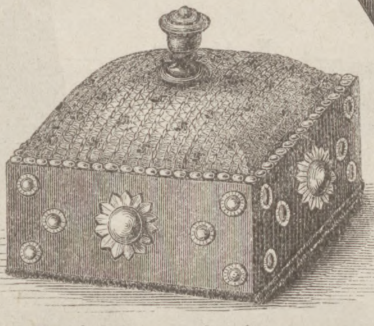


N. 22 Woalik tiulowy.

N. 28—29. Suknia z vêtement. Wskazanie kroju vêtement na ryc. 29.

Do gładkiej aksamitnej spódnicy, vêtement zręcznie podpięte z tyłu, odrobione jest z ciemno bronzowego wełnianego materyału, przerabianego nitkami jedwabnemi złotego koloru; stojący kołnierzyk i rękawy są z aksamitu. Plecki vêtement z czterech części złożone mają 72 cent. długości.

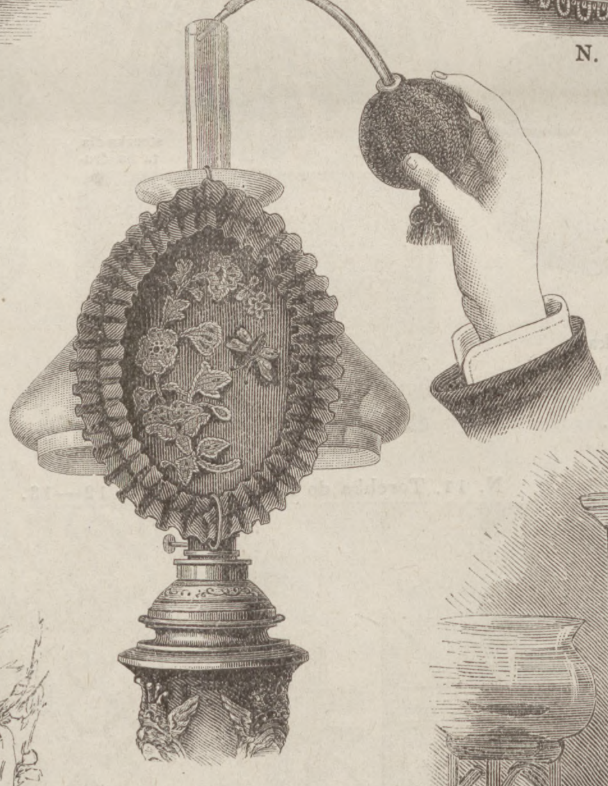
dok. nast.



N. 23. Kamień do przypinania roboty.



N. 24. Koszyczek do nici.



N. 25—26. Zasłonka do lampy i przyrząd do gaszenia. Patrz ryc. 27.



N. 28. Suknia z vêtement.



N. 29. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 28.



N. 30. Ubranie balowe.